

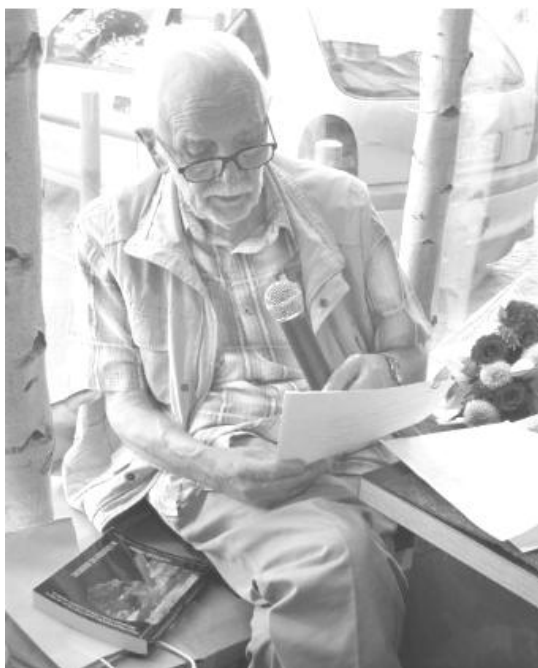


Andrzej Dębkowski

Z tęsknoty za Ojczyzną

Tradycja i historia polskiej literatury emigracyjnej sięga czasów po 1939 roku, kiedy to wielu pisarzy zmuszonych było opuścić kraj w wyniku wybuchu II wojny światowej. W obliczu brutalnych realiów wojennych, literatura stała się dla wielu z nich sposobem na zachowanie tożsamości oraz kontynuację twórczości w obcym świecie. Emigracja miała głęboki wpływ na twórczość wielu polskich pisarzy, którzy zmuszeni byli zaadaptować się do nowych warunków życia i pracy twórczej. Tematyka, którą podejmowali, często nawiązywała do ich osobistych doświadczeń związanych z utratą ojczyzny, tęsknotą oraz zderzeniem z obcą kulturą. Emigranci zmuszeni byli do refleksji nad swoją tożsamością. W takiej sytuacji, literatura stała się nie tylko formą ekspresji, ale także narzędziem do analizy i refleksji nad rzeczywistością, w której się znaleźli.

Jednym z takich emigracyjnych pisarzy jest Krystian Medard Czerwiński (Christian Medard Manteuffel), polski poeta i pisarz żyjący od 1988 roku w Niemczech. Ukończył szkołę średnią we Włocławku. Do roku 1988 pracował na różnych stanowiskach średniego i wyższego dozoru technicznego w przemyśle celulozowo-papierniczym, w Świeciu i Kielcach.



W 1962 roku zadebiutował na łamach tygodnika „Pomorze” wydawanego w Bydgoszczy. W 1968 roku Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała jego zbiór opowiadań „Stemplowanie siwych koni”. W latach 70. sporadycznie publikował wiersze i krótkie utwory prozaiczne w różnych czasopismach w Polsce. Od 1979 roku do 1981 roku jego twórczość była publikowana w czasopiśmie i książkach wydawnictw podziemnych. Wiersze ukazały się m.in. w „Antologii Poezji Odnowy. Poeta Pamięta” obok twórczości Czesława Miłosza i Bertolda Brechta, wydanej przez podziemne Wydawnictwo im. gen. Nila-Fieldorfa w Warszawie. Po stanie wojennym wyemigrował do Niemiec. Czas pobytu w kraju za Odrą to okres intensywnej twórczości – zarówno poetyckiej, jak i prozatorskiej, eseistycznej, które zaowocowały opublikowaniem pokaźnych rozmiarów tomu pt. „Na postoju. Emigracja – Literatura – Historia. Wybór twórczości od roku 1988 z retrospekcjami”.

W tej książce Christian M. Manteuffel sporo czasu poświęcił eseistyce. Jego otwarty umysł notował wszystko to, co godne i warte odnotowania. Od początku wierzył i wierzy, że powinnością pisarza jest takie postrzeganie świata, które ocali od niepamięci wszystkie wartościowe momenty życia człowieka. Dla niego nie ma rzeczy nieistotnych, każda – nawet najmniejsza – cząstka naszej egzystencji jest fragmentem kosmosu. Jego eseje skłaniają do głębokiego myślenia. Wie, że życie to nieustanna podróż. Tak jak wielcy humaniści, tak i on zdaje sobie sprawę z tego, że powinnością pisarza jest taki rodzaj literackiego przekazu, który pozwoli kiedyś pozostawić po sobie taki fragment doczesnego życia, nad którym być może pochyla się następne pokolenie. Stąd też tak dużo jest tu odwołań do filozofii.

Liczne są w twórczości Manteuffla wątki przedstawiające proces adaptowania do nowych warunków życia – od spraw osobistych po zwykłe krajobrazy, przypominające mu znane miejsca ojczystej ziemi. Uderzająca jest w tej twórczości dwoistość świata przedstawionego. Z jednej strony – niemieckie krajobrazy, codzienne sceny z życia emigranta, próby odnalezienia się w nowym społeczeństwie; z drugiej – uporczywa obecność ojczystych pejzaży, wspomnień i symboli, które jak echo powracają w jego utworach. Ten kontrast nie jest jedynie tłem – to rdzeń tego pisarstwa, miejsce, w którym rodzi się jego poetycki głos.

Manteuffel opisuje siebie i swoich bohaterów jako ludzi „w drodze”, nieustannie szukających zakorzenienia, ale świadomych, że pełny powrót nie jest możliwy – ani do kraju dzieciństwa, ani do stanu sprzed emigracji. W tym sensie jego twórczość wpisuje się w kategorię egzystencjalnego uchodźstwa, które wykracza poza fizyczną zmianę

miejsca zamieszkania. Emigrant Manteuffla jest przede wszystkim człowiekiem zawieszonym między „tam” i „tu”, „wtedy” i „teraz”.

Z kolei poezja Manteuffla jest nostalgiczno-dramatyczna. Doświadczenia minionych lat spowodowały, że pisarz w poszukiwaniu prawdy i tajemnicy istnienia podąża po ścieżkach bólu i refleksji. Dobrze wie, że jego poezja jest rodzajem mitu, w którym chciałby odnaleźć te wszystkie miejsca z młodości, za którymi nieustannie tęskni. Poetyckie odniesienia są rodzajem akceptacji samego siebie, bo Manteuffel wie, że przemijanie jest niezwykle mocno powiązane z naszym bytem, a sam poeta próbuje zrozumieć to, co jest największą zagadką ludzkości. Górnołatne to słowa, ale niezwykle trafne, gdyż każdy byt próbuje dotrzeć do istoty tego, na co od wieków próbują znaleźć odpowiedź filozofowie i poeci.

Ta poezja – szczególnie zawarta w „Listach do Kamy” – to także swoisty hołd dla kobiety, która jest nieodłączną częścią życia poety. Bez niej trudno byłoby mu cokolwiek zrobić, a tak udało mu się skonstruować obraz miłości bez barier i granic, w której liczy się tylko i wyłącznie wzajemność i zrozumienie. To niezwykle rzadkie we współczesnej poezji, ale i samym, namacalnym życiu. Sporo tu odwołań do Norwida, do jego przemilczeń, urwanych myśli, pełnych melancholii nastrojowych chwil. Niezwykle ważny w twórczości pisarza jest motyw pamięci, który pełni funkcję zarówno estetyczną, jak i terapeutyczną. Zarówno wiersze, jak i proza Manteuffla często mają charakter retrospektywny – są próbą uchwycenia tego, co przemija, co zostało utracone. Jednak pamięć nie jest u niego jedynie nostalgicznym spojrzeniem w przeszłość. To raczej dynamiczny proces, w którym przeszłość staje się narzędziem reinterpretacji teraźniejszości.

W swoich utworach autor często sięga po obrazy przyrody – krajobrazy niemieckie porównuje z polskimi, szuka podobieństw, które pozwalają mu poczuć się „bliżej domu”. Opisane lasy, jeziora, zapachy i światła to swoiste „topografie emocji”, w których poeta szuka równowagi między znanym a obcym. W ten sposób tworzy literackie pomosty – łączniki między krajem pochodzenia a krajem osiedlenia.

Interesującym aspektem twórczości Manteuffla jest również język, którym się posługuje. Choć tworzy głównie po polsku, niektóre jego utwory pojawiają się również w wersjach niemieckich – nie jako prosta translacja, ale jako dialog między językami i kulturami. Ten dwujęzyczny wymiar twórczości staje się metaforą sytuacji autora – człowieka, który funkcjonuje na styku dwóch światów. Język u Manteuffla jest również narzędziem tożsamościowym – nie tyle deklaracją przynależności, ile próbą „utrzymania kontaktu” z samym sobą. Pisanie po polsku w niemieckim otoczeniu to akt oporu wobec asymilacji rozumianej jako zatracenie. Jednocześnie, poprzez subtelne wplatanie niemieckich odniesień, autor pokazuje, że jego tożsamość jest już inna – rozszerzona, przekształcona, ale nie wykorzeniona.

Manteuffel nie idealizuje przeszłości, nie demonizuje teraźniejszości. Jego pisarstwo ma charakter transgresyjny – przekracza granice między narodowościami, językami, wspomnieniami a rzeczywistością. To twórczość, która nie zamyka się w żalu za utraconym światem, ale proponuje

nowe sposoby jego przeżywania – właśnie poprzez literaturę.

Dla wielu emigrantów, zwłaszcza tych, którzy opuścili Polskę w wyniku przemian politycznych czy ekonomicznych końca XX wieku, twórczość Manteuffla może być lustrem – ukazującym ich niepokoję, tęsknoty i próby budowania nowego domu. Dla czytelnika krajowego – to cenna perspektywa pokazująca, czym jest życie „na styku” kultur i jak literatura może pomóc zrozumieć własne miejsce w świecie.

Christian Medard Manteuffel - „Na postoju. Emigracja – Literatura – Historia. Wybór twórczości od roku 1988 z retrospekcjami”, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2025.

Jerzy Grupiński

Elegia na opuszczenie Doliny Fosylii

*Składam obie dłonie
tę prawą – szorstką od skalnego pyłu
z lewą – wilgotną jeszcze od rosy
Krystian M. Manteuffel*

W nowym domu na Saalburgstrasse
z której strony masz teraz okna?
Na południe – daleko widzisz?
Śniesz wzgórza Twej Szwabskiej Jury?
Pamiętasz?

Tam gdzie młody
(a potem wielebny) pastor Edward Mörike
był wikarym – w Owen
u stóp góry – zamczyska Teck
I chodził daleko na zdrowych nogach
po wulkanicznych pagórach
i pisał ogniste wiersze pełne pstrągów
„Hier ist Freude hier ist Lust”
Pamiętasz – i dalej na płaskowyż
krokami Poethena i Hölderlina
do Ochsenwang – gdzie skała poety
Ten Kamień podnosi cię
czy spycha?
Kto za ciebie pcha go teraz pod górę?

Tu w kraju Hesji
bielmem zachodzą szyby w oknach
Śpiew muezina szyje powietrze
gęstnieje cię minaretów
Men toczy mętną wodę
nie wiadomo po co i dokąd
Spławia barki olbrzymy – monstra
I rośnie nad miasto
cień od gór Taunus
jak słowo Przepowiedni

Wiersz z nowej książki przygotowanej do publikacji; „Epiki towarzyskie i kilka osobistych wierszy”.

Christian Medard Manteuffel

Fosylia

...to już ranek. Z tej całonocnej burzy tylko
księżyc pozostał;
śmieszna, blada twarz starca na błękanie
nieba.
Znów odszedłem od ciebie, pewnie nie spo-
strzegłaś.

Gdy szedłem na górę
sarny stanęły zdumione przy wezbranym
strumieniu;
a może to ta fosylia, którą wypłukała woda,
tak je zadziwiła.

Siwa czapla na rozpostartych skrzydłach,
jak niekształtny ptak ze szwabskiej jury,
przemknęła nad moją głową
i zgarbiona przysiadła w dolinie.

Wiem, muszę już wracać;
znów zszargałem spodnie
i pokaleczyłem bose stopy
na zwietrzałych marglach.

Zasnę w Twoim cieple
i zamknie się nad nami dolina...

Mente et maleo, czyli moja ostatnia podróż na Litwę

...zdrożony
stanąłem na postojach na rodzinnych moich
Kujawach, gdzie chleb i wodę solą się święci.

Moja pierwsza podróż do Wilna przypada
na mój późny czas porządkowania zdarzeń,
tych napotkanych na słotnych rozstajach,
ale też pobranych z historii i książek.

Dla tej podróży zatem, późnej i ostatniej,
szykuję już troki, aby to przytwierdzić
do mojej pamięci, co duszą tylko dojrzę;
coś szeptało do ucha: *to, czego już nie ma*.

Będę więc według zasady: *mente et maleo*,
rozbijał niewidoczność, a te odgrzebane
antyki prawdy ziemi, jednej z ziemi trojga,
będę łączył w jedność, jak to czynią zbieracze

pospolitych rzeczy.

Niels Hav

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 93/2025

Przypadkiem

Przypadkiem wpadam w drodze do pracy
na człowieka, z którym nie rozmawiałem
od ponad dwudziestu lat; tak naprawdę
to nigdy nie rozmawialiśmy, ale nie
zapomnieliśmy
o sobie, przyglądając się naszym
kolejom losu
z dystansu bez wdawania się w szczegóły.

Taki uśmiech, dzień dobry
i szybki uścisk dłoni
mogą jednak oświecić
ścieżki rowerowe i wysłać ciepłą falę
szczęścia i wdzięczności przez ciało
w stronę dusz, które kierują wszechświatem.

Debata, lipiec

Etnograf odkłada rozprawę na piasek
powoli zanurza się w fale.

Zwiedził już łąki muzeów, chłód kościołów,
w księgach gości wpisał swoje imię.

Teraz obraca się niepewnie w wodzie
po pachy
oślepiiony słońcem.

Na wydmach wiatr przewraca kartki jego
książki chichocząc.

przeł. Paweł Kaźmierczak

Epigram

Możesz spędzić całe życie
wśród słów
nie znajdując tego
właściwego.

Całkiem jak nieszczęsna ryba
zawinięta w węgierską gazetę.
Po pierwsze martwa,
po drugie nie rozumiejąca
węgierskiego.

przeł. Stanisław Szwarc

Niels Hav – pisarz i poeta duński. Opublikował w języku duńskim sześć zbiorów poetyckich i trzy zbiory nowel, a w języku angielskim – wiersze i prozę m.in. w „The Literary Review”, „Ecotone”, „Exile”, „The Los Angeles Review” i „PRISM International”. Jego twórczość, nagrodzona przez Duński Instytut Sztuki, była tłumaczona m.in. na angielski, arabski, turecki, hiszpański i chiński.

Andrzej Wilowski

Nie klasyk

26 grudnia 2014

„Pan do mnie, czy do Staszka?” – zapytała mama Stanisława Barańczaka, kiedy stanąłem w drzwiach mieszkania przy ulicy Kościuszki z niepewną miną. Pani Barańczakowa, profesor stomatologii i chirurgii szczękowej leczyła zęby wielu polonistom. Na fotelu dentystycznym nie byliśmy tak dzielni, jak w opozycji. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak wyglądałaby wizyta oficera SB, gdyby przyszedł nie w celu przeprowadzenia rewizji, ale z obolałą szczęką i czy w ogóle zostałby przyjęty, a jeśli tak, to czy procedury stomatologiczne pani profesor przeprowadzałaby bez znieczulenia. Jedno jest pewne, bałby się tak samo, jak każdy pacjent. Stanisław przyjmował wszystkich gości. Niektórych wizyt nie dało się uniknąć – tych Służby Bezpieczeństwa – ale na szczęście nie było ich zbyt wiele. Kiedy Stanisław podpisał proklamację KOR (Komitet Obrony Robotników), przychodzili do niego nie tylko poloniści, koledzy po piórze, ale i różni ludzie ze swoimi problemami, oczekując pomocy KORu, jakiejś interwencji, a najczęściej zwyczajnie, chcieli, aby ktoś ich wysłuchał.

To ta niezwykła umiejętność słuchania była pierwszą rzeczą, jaką odkryłem u Stanisława. Zastanawiałem się, jak znajduje czas na te niekończące się wizyty, aktywność społeczną, literacką i naukową. Wśród bywalców mieszkania przy Kościuszki był jego student Jerzy Kandziora. Po latach Jurek, profesor IBL (Instytut Badań Literackich) napisze swoją pracę habilitacyjną o języku poetyckim Stanisława Barańczaka. Nie dowiemy się już, jak mogłaby wyglądać ich rozmowa o tej książce.

Młody poznański naukowiec, Stanisław Barańczak stał się sensacją w środowisku polonistycznym po opublikowaniu pracy doktorskiej o języku poetyckim Mirona Białoszewskiego. W latach siedemdziesiątych na zaproszenie Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza przyjechał na wieczór autorski do Poznania Miron Białoszewski. Gospodarze zaproszowali w ramach wizyty spotkanie z Barańczakiem. Białoszewski wymawiał się jak mógł, tłumacząc, że na pewno w jego mieszkaniu jest podsłuch, co nie będzie sprzyjało swobodnej i szczerzej rozmowie. Prawdopodobnie bał się fotela badacza literatury na którym zasiadłby w charakterze podmiotu badań, jak pacjent na fotelu dentystycznym.

Relegowany po marcu 1968 z Uniwersytetu Warszawskiego Adam Michnik, po trzech latach wznowił STudia jako ekstern na wydziale historycznym UAM. Bywając w Poznaniu, usłyszał o głośnym spektaklu studenckiego Teatru Ósmego Dnia, „Jednym tchem”. Początkowo spektakl miał mieć tytuł „Krwiodawcy”, a w warstwie literackiej był kolażem tekstów gazetowych. W tej wersji został zdjęty przez cenzurę, wtedy Lech Raczak wpadł na pomysł, aby osiągnąć podobny efekt używając wierszy Stanisława Barańczaka z debiutanckiego tomu „Jednym tchem”. Rezultat był zdecydowanie

lepszy od pierwszej wersji. W miejsce doraźnej publicystyki, pojawił się protest przeciw zniewoleniu przez totalitarny system. Zamiast prasowego cytatu, poetycka metafora w połączeniu z symboliką punktu krwiodawstwa. Cenzor nie miał się do czego przyczepić, ale spektakl stał się w pewnym sensie manifestem pokolenia, choć grany krótko, pozostała legenda.

Kiedy w 1976 powstawał KOR, większość sygnatariuszy była z Warszawy. Adam Michnik nie miał wątpliwości, że do tego grona powinien dołączyć Stanisław Barańczak. Przyjechał do Poznania i namówił go bez większych trudności. wówczas Barańczak był jeszcze członkiem PZPR.

Świadectwem pewnej dozy naiwności mógł być proces, jaki wytoczono Barańczakowi pod zarzutem próby wręczenia łapówki urzędnikowi państwowemu. Kiedy starał się o pozwolenie na zakup pewnej nieruchomości, wszystko zależało od przychylności naczelnika gminy. Ten widząc, że ma do czynienia z polonistą, wspominał o kłopotach finansowych biblioteki gminnej. Barańczak bez zastanowienia wyjął portfel i pieniądze, jakie miał przy sobie położył na biurku urzędnika, oświadczając, że to datek na rzecz biblioteki. Proces był farsą z wymiaru sprawiedliwości. Wiem o tym z relacji Mari Blimel. Na sale sądową nie wpuszczono sygnatariuszy SKS (Studenckiego Komitetu Solidarności), ale koleżanka jako aktywistka ZSP miała glejt i mogła wejść na sale sądową.

Oczywiście, wszystko okazało się zwykłą prowokacją, ale władze uczelni skwapliwie wykorzystały to jako pretekst do wyrzucenia dr. Barańczaka z pracy. Rozpoczęliśmy akcje protestacyjną i zebraliśmy kilkaset podpisów pod petycją wzywającą władze uczelni do przywrócenia Barańczaka jako nauczyciela akademickiego. Pracy naukowej i translatorskiej nikt nie mógł mu zakazać. Przy najmniej my byliśmy o tym przekonani.

Pod egidą „Koła Naukowego Polonistów” rozpisaliliśmy wewnętrzny konkurs wśród studentów na recenzję tomiku „Ja wiem, że to niesłuszne”. Ponieważ tomik ukazał się w oficynie emigracyjnej i nie był dostępny w kraju, przepisaliliśmy na maszynie kilkanaście egzemplarzy dla chętnych. Sam tomik był już dla uczestników wystarczającą nagrodą.

Wiersze z tego tomiku odwoływały się do konwencji piosenki. Dało się to zaśpiewać. Udo wodniła to Małgorzata Bratek, układając do nich nutki. Małgorzata wtedy była gwiazdą piosenki studenckiej i występowała z tym programem, mimo zapisu na nazwisko autora wierszy, w studenckich klubach i osiedlowych domach kultury. Do swojego repertuaru włączył też wiersze Barańczaka Jan Kelus, legendarny bard opozycji. W 2012 roku wiersze z tomu „Widokówka z tego świata” przerobił na piosenki Jerzy Satanowski i wystawił spektakl piosenki aktorskiej na deskach poznańskiego Teatru Nowego.

Poeta wykazywał umiarkowany entuzjazm dla poezji śpiewanej. Prawdopodobnie dlatego, że poeta sam był muzykalny. W młodości uczył się gry na trąbce. Ten słuch muzyczny miał też ogromny wpływ na prace translatorską.

Wydawnictwo Literackie w dwujęzycznej Serii wydało tom wierszy Dylana Thomasa, w przekładach Barańczaka. Tłumacz przygotował kolejny tom do tej Serii E. E. Cummingsa. Zapis cenzorski wstrzymał druk. Jarek Jedliński i Włodek Karpiński postanowili go wydać w drugim obiegu. Ten tom zainaugurował działalność „Witryny Literatów

i Krytyków". W tej samej oficynie została też wydana „Antologia XVII wiecznej angielskiej poezji metafizycznej” w formie teczki z powielonym kilkusetstronicowym maszynopisem.

Była jesień, daty nie pamiętam, ale liczę na pamięć historyków z IPN, w strugach deszczu, po kostki w błocie, przedzierał się późną nocą na Osiedle Kopernika. Z Januszem Zemerem przywieźliśmy partię bibuły z NOWEJ. Mirek Chojceki wyznaczył nam misję specjalną, mieliśmy Barańczakowi dostarczyć pierwsze egzemplarze zbioru wierszy Josifa Brodskiego.

Dzwonek do drzwi. Otworzyła Anna, żona Stanisława. Musieliśmy wyglądać żałośnie, ale nie usłyszeliśmy wyrzutów. Stanisław przyjął nas w piżamie. Obejrzał książki, ale nie był zachwycony marnej jakości powielaczowym drukiem. Wyjaśniliśmy, że najważniejsze jest to, że nakład spory i to pierwszy tom poetycki na wydanie którego zdecydowała się NOWA. Myślę, że dał się przekonać. Kilka dni później w użyczonym mieszkaniu przy ul. Swobody odbył się wieczór autorski tłumacza. W ubiegłym roku spotkałem chłopaka, który był na tym wieczorku, dziś jest jednym z prorektorów Uniwersytetu Ekonomicznego.

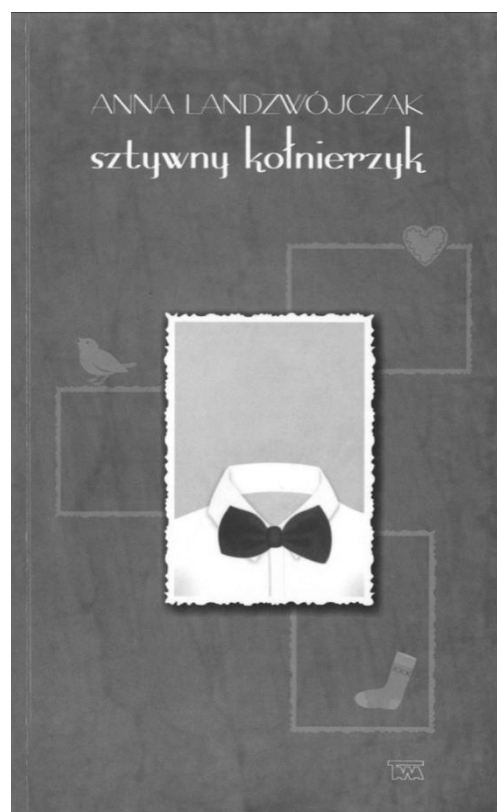
W latach osiemdziesiątych, jako profesor Harvardu uprzyściplenił amerykańskim studentom i czytelnikom twórczość Wisławy Szymborskiej, tłumacząc jej wiersze na angielski. Miał szczęśliwą rękę Stanisław Barańczak do noblistów.

Pewnego dnia badacz literatury i literat Edward Bałcerzan zapytał akademika i poetę Stanisława Barańczaka: „Jak to jest u was z tą przerzutnią? Chyba jej nadużywacie.” Zasadniczy badacz literatury długo analizowali i porównywali, aż wreszcie zaklasyfikowali do „poetyckiej nowej fali”. Samo określenie „nowa fala” mi raczej kojarzy się z „nowomową”. Wymyślono taki termin dla tego szczególnego rodzaju liryki obywatelskiej, charakteryzującej się demaskowaniem i wykpiwaniem języka gazetowego, perswazji i propagandy.

Dla studentów starszych lat był przewidziany wykład poświęcony językowi gazet i literatury popularnej. Badanie retoryki i poetyki partyjnej prasy i milicyjnej powieści mogło zakrawać na rodzaj filologicznej perwersji. Stanisław demaskował język propagandy z chirurgiczną precyzją i publicystyczną ironią. Nadobowiązkowo przychodzili na te wykłady studenci wszystkich lat. Po relegowaniu wykładowcy z uczelni wykłady przeniosły się do prywatnych mieszkań, organizowane w ramach TKN (Towarzystwa Kursów Naukowych) zwanego też „latającym uniwersytetem”.

Powstanie „Solidarności” umożliwiło powrót na uczelnię, ale odbył się tylko jeden wykład, pożegnalny w 1981 roku. Na Barańczaka czekała katedra na Harvardzie. Wybrał wolność, ale za oceanem uwięziła go nieubłagannie postępująca choroba Parkinsona.

Kiedy umiera poeta o tak imponującym dorobku, staje się klasykiem. W mojej pamięci utrwalił się obraz nie klasyka, kandydata na pomniki, ale wrażliwego, brodatego intelektualisty w jeansach i swetrze, człowieka wielu talentów i pasji, pełnego sprzeczności, mistrza i starszego kolegi.



Paweł M. Wiśniewski

Zegar tyka

Christoph Rasmayr (ur w 1954 r.), obok Elfriede Jelinek i Martina Pollacka, jeden z najbardziej znanych pisarzy austriackich. Znany ze znakomitej erudycji, niespotykanej znajomości szczegółów opisywanego świata i postaci, podróżnik ubarwiający historyczne tło fikcyjnymi zdarzeniami wnikającymi i uzupełniającymi je idealnie.

Rasmayr przybywa do nas – czytelników jego twórczości – z nową książką wyznaczającą wszystkie powyższe cechy charakterystyczne dla prozy austriackiego autora a zarazem korygujące je w rytmie nieśpiesznej opowieści. „*Cesarski zegarmistrz*”, bo o nim właśnie mowa, jest szkicem literackim łączącym powieść historyczno – biograficzną z elementami reportażu a niekiedy nawet, traktatu filozoficznego. Konstrukcja wybija się poza ramy zwykłej narracji, obligując nas do emocjonalnego związania się z postacią głównego bohatera, wykonującego arcytrudne zadanie.

A kim ów bohater jest, przed czym zostaje postawiony, jakie to zadanie mu powierzono? Odpowiedzi na te pytania wskazuje krótki opis widniejący na okładce książki Rasmayra: „Alister Cox, angielski zegarmistrz i twórca automatów, po tragicznej śmierci córki porzuca swoje rzemiosło i pogrąża się w rozpacz. Szansę na wybawienie odnajduje w niespodziewanej propozycji – sam cesarz Chin prosi go, aby przybył do Zakazanego Miasta i stworzył trzy zegary, jakich jeszcze świat nie widział. Gdy jednak Cox trafia na dwór, zaproszenie i szczerze obietnice wszechwładnego monarchy okazują się czymś innym.” Pan Horyzontów prosi Coxa, aby ten przy udziale całej swej wiedzy i umiejętności „wyczarował” trzy mechanizmy: pierwszy – mierzący tempo upływającego czasu takie, jakie widzi go dziecko, drugi – liczący czas jaki pozostał umierającemu człowiekowi do chwili śmierci oraz trzeci – pozwalający cesarzowi Chin kontrolować niezmierzoność linii czasu, aby ta należała jedynie do Pana Dziesięciu Tysięcy Lat.

Budowa zegarów nie jest aż tak ważna z punktu widzenia czytającego „*Cesarskiego zegarmistrza*”. Powinniśmy się raczej skupić na zderzeniu dwóch odmiennych światów: świata wschodu i zachodu, cywilizacji Imperium Brytyjskiego skupiającego w sobie wieloetniczność, wielokulturowość i rozciągającego się niemal po całym ówczesnym globie z zamkniętym społeczeństwem Wiecznego Miasta, skrytym za Wielkim Murem, konkurującym ze Brytyjczykami o hegemonię, ale z drugiej strony, nie mającym realnych wpływów na bieg historii, przynajmniej w tamtym konkretnym miejscu. Zderzenie to wzmacnia wewnętrzna rywalizacja o względy cesarza Chin, którego jedno spojrzenie, jeden gest, jedno najmniejsze słowo jest traktowane z najwyższym szacunkiem i czcią równą bogom. Konkurencja wyznacza postępowanie mechanizmów zegarowych, wpływ spędzonego w cesarstwie czasu, tęsknotę za utraconym nienazwanym wspomnieniem, ulatującym w przestrzeń, podobnie jak pył z pustyni Gobi, albo niedoskonałości cesarskiego płaszcza.

Rasmayr, pisząc swoją powieść z pewnością pragnął naruszyć nieco mur myśli kultury zachodnioeuropejskiej, zamkniętej w idealnej strukturze grecko-rzymskiej literatury i sztuki antyku, dryfującej pomiędzy dziełami klasyków niemieckich, francuskich, angielskich czy włoskich, a współczesnością przesyconą obrazami przerysowanych relacji międzyludzkich i związków nie zawsze trwałych. Pokazać coś odrębnego, niewpisującego się w standardy jakie zostały przyjęte i jakich nie warto przekraczać. Dla autora osiemnastowieczne Chiny nie są jedynie izolacyjnym państwem, są czymś znacznie więcej; odległym rajem, niemal utopijnym, w którym wszystko podlega określonej porządkowi i określonej biegowi czasu, wyznaczającemu narodziny i śmierć, czas siewu ryżu i zbioru, rozpoczęcie ceremonii i jej zakończenie i w końcu – nadejście cesarza. Wszelkie te czynności jawią się w oczach Rasmayra niemal jak baśniowa opowieść piękna i cudowna, ale jednocześnie tragiczna, gdyż wiemy, że nie ma prawa trwać wiecznie.

Etap tworzenia musi się jednak kiedyś skończyć, trzeba zamknąć powzięte zadanie i ukazać jego końcowy efekt. I tak było także z dziełem Alistera Coxa, które przyniosło znacznie więcej udręk cesarzowi Chin niż radości. Nie miał on co prawda większych uwag do dwóch pierwszych mechanizmów, lecz ostatni wzbudził w nim smutek i rozczarowanie, bo co „jeśli uruchomiłby ten odłąd bez ustanku tykający mechanizm, czyż bieg czasu nie byłby wówczas nie do zakwestionowania, możliwy do odczytania z wachlarza skały przez wszystkich narodzonych i jeszcze nie narodzonych najodleglejszych epok – nieodwracalny? I czy Pan Dziesięciu Tysięcy Lat rządziłby jeszcze czasem, wyłączenie wedle swojej woli – czy też byłby niesiony jego strumieniem, jak którykolwiek z jego bezimiennych poddanych.” Myśl ta dręczyła cesarza do tego stopnia, że zmuszony wyrzutami sumienia zrezygnował z powziętego zamiaru: „Pan Horyzontów, Niezwyciężony, znieruchomiał, po czym wzdygnął się, odłożył ostrożnie szklany stożek do wyłożonego jedwabiem zagłębienia.” Nawet on największy z wielkich, najcudowniejszy z cudownych, najdoskonalszy z doskonałych, wybitny strateg, myśliciel, mówca... nie potrafił pokonać czasu, czasu pozostałego do osobistego końca, końca ziemskiej drogi a zarazem czasu, jaki nadchodził w wiecznej wędrówce wśród bogów. Paradoxs sytuacyjny postawy cesarza Państwa Środka odzwierciedla paradoks sytuacyjny każdego z nas – skazanych na nieuniknione rozwiązanie i mających mglistą nadzieję, że jednak kiedyś uda się wynaleźć sposób uniesmiertelnienia ludzkiej rasy.

Christoph Rasmayr zaskakuje w swojej powieści jeszcze jednym – niemalże brakiem dialogów, co jest charakterystyczne dla jej reporterskiego przesłania. Unikatowość występującego w „*Cesarskim zegarmistrzu*” języka przytłacza bezmiarem wylewających się raz za razem po sobie słów, zdań i wypowiedzi. Ten natłok z jednej strony przeraża ilością wieloznaczności, ale z drugiej, obok rozbudowanej linii akcyjnej, tworzy wyraźny profil poznawczy głównego bohatera; jego psychologii, konfliktów wewnętrznych i prób dokończenia powierzzonego zadania. Prowadząc rozmowę z czytelnikiem, kierując go poprzez kolejne strony powieści Rasmayr wytycza ścieżki w ciemności, oświetla je lampą naftową, która nie daje wiele światła, ale jest wystarczająco jasno, aby dostrzec zarys prawdy – prawdy o człowieku, o sensie ist-

nienia, sensie egzystencji tu na Ziemi; tu, gdzie każdy oddech może być naszym ostatnim.

Gdy zastanowić się nad wielowątkowością „Cesarskiego zegarmistrza”, to nieodparcie przychodzi na myśl, że w gruncie rzeczy nie jest to opowieść o Chinach. Równie dobrze mogłaby się dziać w dzisiejszej Francji, Wielkiej Brytanii, czy Niemczech, gdzie bogaty właściciel koncernu paliwowego, bądź farmaceutycznego, posiadający niemal wszystko, zapragnąłby tego samego co Pan Dziesięciu Tysięcy Lat. Zażyczyłby sobie trzech mechanizmów, trzech zegarów, odbijających trzy zagadnienia życiowe, by móc zostać panem czasu; jaki jest, jaki był i jaki będzie. Ale czy byłby w stanie oprzeć się pokusie i pogodzić się z losem? Prawdopodobnie nie, ponieważ wszelkie objawy słabości były, zarówno w oczach cesarza Chin, jak i obecnych panów tego świata, przywarami zwykłych ludzi a nie ich samych. Ale czy te słabości nie czynią nas właśnie ludźmi, słabymi, ulotnymi, a jednocześnie najsilniejszymi, zdolnymi do rzeczy wielkich w imię jednostki? Pokusa zaiste jest i to znaczna. Warto jednak czasami ujrzeć w lustrze odbicie człowieka po drugiej stronie.

Christoph Rasmayr potrafi jak nikt inny zmusić do zredukowania posiadanej wiedzy o człowieku, rozszerzając pogląd do maksymalnej dychotomii. Wydaje się, że mogło by przychodzić to równie ciężko, co analiza dzieł filozofów antycznych, ale tak nie jest. W rzeczywistości dość szybko odnajdujemy właściwe kropki i łącząc je dochodzimy do wniosku, że to dopiero początek. Musimy skierować nasz ogłód znacznie dalej w obce rejony świadomości i wówczas odkryć kim jesteśmy.

Christoph Rasmayr – „Cesarski zegarmistrz”; tłum. Jacek St. Buras, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018.

Elżbieta Książkiewicz

Tancerka

Śliczna lekka
bogini tańca
nimfa Terpsychora
z gracją
wykonuje taneczne pas
nad lustrem fontanny.

Krople wody
lśnią krystalicznie
rozpryskując się w słońcu
na miliardy
wodnych drobinek.

Mam wrażenie
że za chwilę
piękna tancerka
uniesie się w powietrze
I pofrunie
z ważkami motylami
zbierać nektar
i rozwijać pąki róż
w rosarium.

Maria Kogut

* * *

wysłuchana w jednostajny szum morza
wypoczywam od zgiełku
codzienności
wszystkie troski i myśli chropawe
powierzam falom
które zabierają je
i topią w głębinie
może powrócą sztormem
wyładowując gniew odrzucenia
na pustej plaży
gdy ja lżejsza od zbędnego balastu
unoszę się na skrzydłach
ciszy

Spowiedź w drewnie

Spowiadał się rzeźbiarz
z Męki Chrystusa na Krzyżu:
z rąk za długich
gotowych objąć wszystkich ludzi,
z nóg za chudych
zmęczonych drogami Galilei,
z korony cierniowej
zbyt ciężkiej by unieść głowę
i z ran otwartych
pokrytych krwią skrzepłymi wórami.

Spowiadał się rzeźbiarz pokornie,
w konfesjonale ciszy,
a z nim się świerszcz spowiadał,
kornik i pisk szarej myszy.

* * *

alejki parkowe pełne są
starzejących się kobiet
przyjechały tu po zdrowie
niektóre po sezonową miłość
podziwiając kwietne aranżacje
głodnym wzrokiem
wypatrują singli
nierzadko przejmują inicjatywę
nie zostawiając miejsca na domysły
najbardziej zdesperowane
przesiadują w ogródkach piwnych
ze szklanką bursztynowego
rozluźniacza
podrygują w rytm
dyskotekowej muzyki

przebrane wracają
w utarte koleiny życia

Tadeusz Blumczyński

Paryż 1849

Fryderykowi Chopinowi

Kotary szczerze zasunięte.
Ciche rozmowy w pokoju.
Wygląda na to, że już dzień,
bo mówią, że w nocy padało.

Ciężko dzisiaj się oddycha.
Pamięć rzadziej przywołuje
gromkie brawa u Pleyela,
częściej ciszę Valldemosy.

Mazurek, preludium, scherzo?
Może nocturn? Nocturn to noc,
noc przynosi czasem sen,
da Bóg, że o Warszawie.

Śmierć nie liczy się z talentem.
Beznamiętnie się przygląda
jak z duszą i ciałem
wypała się geniusz do cna.

Nie wierzę, byś nie wiedział,
że na twoje pięciolinie
dawno położyła rękę
zasłuchana nieśmiertelność.

Paweł Kuszczynski

Przychodzi

Pamięci Barbary Sarbinowskiej

Nieustająco biec za Słowem,
jak Juliusz pokazuje,
by zadziwić rzeczywistość
i ją ubogacić:
o śpiew kosa osławiający
tajemnicę lasu,
zobaczone kryształły rosy
na źdźbłach trawy,
wyciągnięte ręce otwierające
oczekiwane spotkanie
wspólnych myśli,
znalezione zdanie w książce –
naznaczone podziwem,
muzykę Franciszka Szuberta
przynoszącą ukojenie duszy,
podziwiany pejzaż za mgłą
w obrazie Kaspara Davida Friedricha.
Pamiętać, że prawda umacnia
i nieraz zabija,
liczba mnoga nie zawsze rozgrzesza.
Napisać wersy tak, jak się chciało.
Nie kłaść świętości języka.

Sławomira Sobkowska- Marczyńska

niczego nie mogę zatrzymać
dobroci słońca i jego ciepła
wdzięku chmur zawieszonych na niebie
paplaniny ptaków o poranku
szepców trzcin w jeziorze
niepewności czy to jawa czy sen
logiki co wcale nie ułatwia zrozumienia
zapachu życia
niczego

Edward Henka

Panie mój

Panie
Ty dźwigasz grzech świata
w piersi krzyk uwięziony
egoizm na tronie rozdaje karty

ludzie w pokłonie świątyni
szepczą regułki
Gonia za tym co nie grzeje
każdy mądry wszystko wie

duszę się wyziewem
jak wyznać grzech
gdy sumienia brak
martwa łza na policzku

Andrzej Śliz

Milczenie Boga

Jeszcze wczoraj nosił w głowie
Cały kolorowy świat.
A dziś jego mózg to czarna dziura,
Czyli dokładnie nie wiadomo co.
Co się z nim naprawdę stało
Wie tylko jeden Bóg.
Ale bóg uporczywie milczy.
W bezsenną noc milczenie Boga
Stawało się natrętne i nieznośne.
Nad ranem, gdy już zasypiałem,
Usłyszałem dobiegający z zaświatów głos.
Ale to nie Bóg przerwał swoje milczenie.
To był znany mi głos zmarłego wczoraj
Jak zawsze niezawodnego mojego przyjaciela.
Jakimś cudem udało mu się przekazać mi
Z tamtego świata, że mogę spać spokojnie,
Bo on znajduje się teraz w takim miejscu,
Gdzie już nikomu nie zagraża
Życia śmiertelna pułapka

Zbigniew Kresowaty

Woda

woda nosi pamięć wieczną
połóż się spać nad wodą
jak otoczek jej pamięć obejmie
poniesie w zatokę może rzuci
uwięzi cierpienie w piasku kłującym
to tamtędy brzegiem biegł koń
a więc Perseusz pokonał Meduzę
biegł biały rumak znaną zatoką
woda nosi do dziś Jego grzywę
a ty młody bywasz jedynie
w starej pamięci na brzegach

w wodzie leży nóż
nie podnoś go – to lustro zakłute
po nim pojawi się złoty talar i perła
woda nosi pragnienie zmywa i topi
fale muzyki symfonię ciężkiego dnia
jęki fruwejacej ryby i sen Johna Lennona
zbiera pamięć w zawiniątko na brzegach
czasem zmywa ślady morderstwa
to jej ciężar właściwy otoczek
Który od Myken w cieśninę się stoczył

póki co w wodzie jesteś młody
krążysz w starych mitach łowisz plusk
woda przesłuchuje twarze bez masek
odbicia twarzy krzywych i ocz błyski
wielcy i malutcy zbrodniarze zmywają
swoje winy i grzechy noszą kody na piersi
nurty i zakazy na sercu ale nie udaje się
jak w Guantanamo wodą zmyć
niemożliwe - wodą można uwolnić
pamięć i obmyć obecne sny

Krystyna Wojciech-Ratajczak

Dla Chełmońskiego

Opary
białym prześcieradłem
kryją brązy, ochry
i szarości skiby.
Czuję zapach
pieczonych kartofli,
a żar ogniska,
śmiesz dzieci,
nić babiego lata przeplatana
między palcami
rozmarzonych dziewczyn
takie namacalne.
I ta muzyka,
skrzypienie studni,
pieśń wiatru,
tętent kopyt.
Czy jesteś tu już tylko wierszem?

Anna Landzwójczak

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 93/2025

taką cię

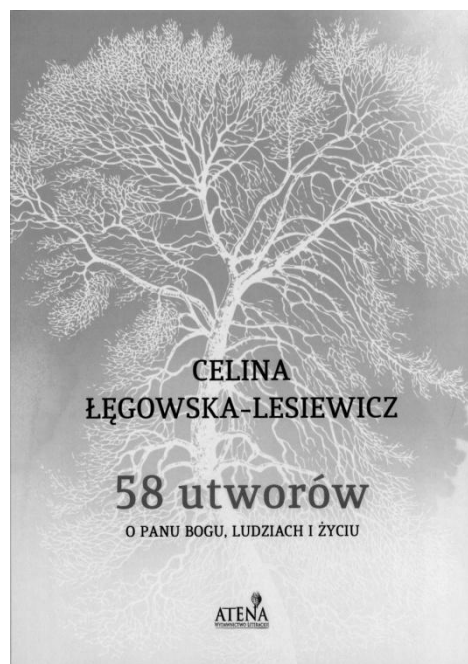
przetoczyło się przeturlało
obok i jakby nie twoje
wydarzało się zadziwalo
jakieś jej nie tobie
tej ujętej w archiwach parafialnych
statystykach miejskich urzędów
numerach które przypisano
jakieś jej nie tobie
bo ty leżysz
na dziewiczej łące
świtów żdźbła nawijasz
na niecierpliwe palce
bo ty wsiadasz
na statek obłoku i odpływasz
nie pytając dokąd

Danuta Ewa Dachtera

Przekornik las

Hen
za zielonością trawy drzew
jest jezioro
Dalej morze – moje Morze
I horyzont nieskończeniem określony

A tu zmienność niezamierzona
ogranicza nas do maleńkich epifanii
jak na przykład
zwykły i nie
niezwykły las



Kazimierz Grochmalski

Komiczny człowiek

(fragment powieści)

Bezużyteczny element

Element bezużyteczny. Nikomu niepotrzebny. Walający się po kątach jak bezużyteczna część samochodowa w warsztacie napraw mechanicznych. Zapomniany błotnik od modelu już dawno nieprodukowanego. Już niewiele samochodów tej marki jeździ po drogach. Nikt ich nie naprawia, bo to nieopłacalne. Element bezużyteczny wala się po warsztacie by któregoś dnia dostąpić zaszczytu wyładowania na wielkiej stercie złomu, gdzie zakończy swój żywot elementu bezużytecznego.

Klocki życia powinny być do siebie dopasowane, tak jak części zapasowe w warsztacie napraw. Zawsze, kiedyś, jest nadzieja, coś się do czegoś dopasuje. Kluby samotnych, stowarzyszenia odrzuconych nie pozwolą ci pozostawać bezużytecznym elementem. Każdy powinien znaleźć dla siebie coś z Pańskiego rozdania. Jak mówi się potocznie „każda potwora znajdzie swego amatora”. Jak nie tu, to tam. Jak nie tam, to gdzieś, bo przecież świat staje się globalny. Beznoga pobiegła do ołtarza w ślubnej sukni z koronek, a dwustukilogramowa urodziła rozkoszne bliźniaczki. Wszystko da się dopasować, ale w ramach jakiejś układanki, którą da się zasadnie przeprowadzić. Ale nasz Max wypracował zgoła inny pogląd. On, człowiek doskonale panujący nad funkcjami żywotnymi, król funkcji, magnat funkcjonalizmu, postanowił wycofać się z tego obiegu. W swej przemożnej chęci poznania czegoś, czego jeszcze sam sobie nie uświadamiał postanowił zdecydowanie porzucić świat funkcji, panowania nad nimi, przemieszczania się pomiędzy nimi, manipulowania nimi w celu osiągnięcia biznesowego celu. Ba, jako neofita stawał się wrogiem funkcji jako takiej. Stawał się takim jak ta walająca się część z niedysiejszego samochodu, którym nie powinno się już jeździć. On Max wykreował się na bezużyteczną część samochodową. Nikomu niepotrzebną, raczej zbędną, ale oryginalną w postrzeganiu świata. Zawsze przeskakującą w warsztacie napraw, bo czy to majster, czy czeladnik, ciągle potykają się o nią w wiecznej krzątaninie wokół wszelakich czynności naprawczych i usprawniających. A tu pęta się coś pod nogami, przeszkadza, tworzy zarzewie konfliktu wewnątrzzakładowego. Element bezużyteczny. Jest, ale nikomu niepotrzebny. Nie dający się do niczego dopasować. Niedopasowany? To nieprawda. Max potrafił być doskonale dopasowany. Świetnie funkcjonujący w trybach systemu. Nie można udawać niedopasowania leżąc na górze zarobionych pieniędzy! Zdobył je właśnie przez umiejętność doskonałego dopasowania się do mechanizmu funkcji! „Bezużyteczny”, to słowo otwierało mu jakieś nowe, nieuświadomione jeszcze pole do myślenia. Człowiek, który zdobył się na aby być perfekcyjnie użyteczny, teraz postanowił być bezużyteczny. Przecież nie cierpi na wyobcowania, nie katuje się zamiarem bycia innym wobec innych. Wobec kosmosu innych. Miliony ludzi i każdy chce być inny. Inny od innych... Nic z tego. Max chce być bezużyteczny poza

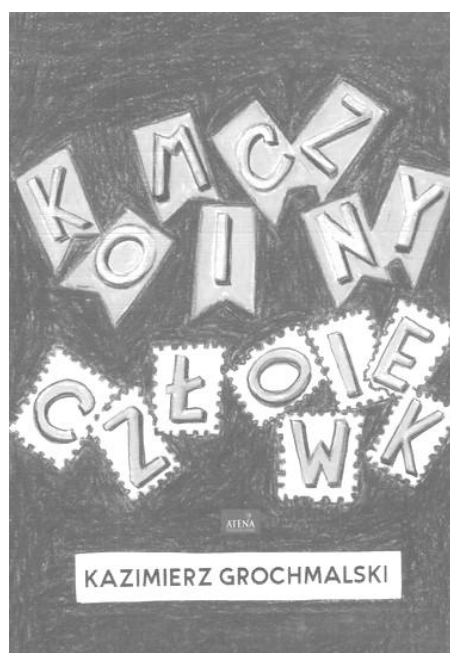
jakąkolwiek funkcją. Ale skoro jest, skoro oddycha, chodzi, myśli, to przecież jest. Może jest, ale przeterminowany? Dezerter z placu boju który jednak spożywa pokarm, patrzy, obserwuje, ludzi, chcąc nie chcąc, przebywa wśród ludzi.

Max nie może poradzić sobie z tym dylematem. Przecież nie strzelił sobie w łeb i będzie po sprawie. I to będzie jego szczęście? Człowieka sukcesu. Czy da mu to odpowiedź na postawione przed sobą zadanie? Czy jest coś, co można osiągnąć na drodze innej niż poprzez komiczną degradację siebie samego? Max na wielkiej stacji rozsyłu, gdzie skieruje swój wagonik pytań? Na jakim torze go ustawić? Doczepić do jakiego składu pociągu, który pojedzie przez piękną ziemię usłaną czterema porami roku... Łza kręci się w oku ze wzruszenia. Ale nie jest to łza w oku Makska...

Potwór

Dlaczego? To pytanie nieustannie zajmowało jego myśli. Dlaczego porzucił to, co osiągnął? Dlaczego chciał być bezużyteczny, skoro potrafił być tak użyteczny? Dlaczego pytał wciąż o to cholerne szczęście? Szczęśliwy człowiek, czy rozpaczliwy człowiek? Komiczna forma bytu, czy tragiczna konsekwencja stwarzanej alternatywy? Po co ciągle zadaje sobie to pytanie „dlaczego?” Nie on stworzył ten świat, nie walczył o jego kształt! Czy to „dlaczego?” otworzy mu jakąkolwiek perspektywę widzenia? Ujrzy swoje szczęście? Ujrzy coś, czego inni nie widzą czy też doprowadzi go to samozagłady siebie samego. Do podważenia wszelkich podstaw cywilizacji, doprowadzi do bezsensu istnienia, a tym samym istnienia jego samego! Podważa zastany porządek, który przez tyle lat mu nie przeszkadzał. A teraz zaczyna mu wadzić. Jest bogaty, jest niezależny, może mieć co zechce w tym świecie, czego mu więc brakuje? Tożsamości siebie samego? Pogodzenia z nieuchronnością przemijania? A może rozszerzenia własnej formy istnienia poza widzialny i dotykalny świat?

Kazimierz Grochmalski – „Komiczny człowiek”,
Atena Wydawnictwo Literackie, Poznań 2025.



Stanisław Szwarc

Tajemnice sumeryjskiego panteonu

Każda cywilizacja wytwarza u swego zarania mity. Trzeba przecież jakoś wyjaśnić skąd się wziął ten świat i my w nim, chronić się pod opiekę bóstw przed potężnymi siłami przyrody a w końcu obwarować boskimi sankcjami zasady niezbędne do życia społeczności.

Nam, wywodzącym się z kręgu cywilizacji śródziemnomorskiej najbliższe są mity Greków i Rzymian oraz pochodzący z bliskiego wschodu mit o stworzeniu i początkach świata zapisany w księdze Genezis. Niby wiemy, że zawiera on echa znacznie starszych wierzeń babilońskich, akadyjskich i jeszcze dawniejszych sumeryjskich, ale nasza wiedza o świecie tych bogów jest nader skromna. Mamy właśnie okazję poszerzyć ją dzięki książce Przemysława Kulczaka „Mitologia sumeryjska – stworzenie świata”.

Różnie można pisać o mitach. Właśnie o mitach, z naciskiem na „o”, bo przecież autor wymieniony na okładce jest skrepowany tym, co przed wiekami napisał jakiś anonimowy najczęściej twórca. Pozostaje mu ubarwienie zwykle schematycznej opowieści, namalowanie tła mitycznych wydarzeń, czy podkreślenie psychiki bogów i heroś. Może jak Zygmunt Kubiak dać rzetelną popularyzacyjną informację, zrelacjonować swoimi, jakże pięknymi słowami treść mitu jak Jan Parandowski, albo stworzyć sympatyczną opowieść jak Jadwiga Żylińska.

Przemysław Kulczak poszedł jeszcze inną, trudną do sklasyfikowania drogą. Nie tylko ubarwił i sfabularyzował mityczną opowieść, przydał jej dialogi, ale ponadto w przedziwny sposób ją uwiarygodnił. Czy można uwiarygodnić ewidentną fikcję? Okazuje się, że można w tym sensie, że stawia się pieczęć swoistego imprimatur zgodności z prądowymi wierzeniami, wprowadzając szczególnego, wiarygodnego narratora.

Przypomina się tu zachwyt Olgi Tokarczuk nad narratorem Genesis, który miał odwagę napisać: „I uznał Bóg, że to było dobre.”, choć w oczywisty sposób nie mógł być tego świadkiem. Taki narrator daje większą swobodę fizycznemu autorowi, odsuwając od niego część odpowiedzialności za tekst. Tak postąpił Umberto Eco w „Imieniu róży”, gdzie stary mnich Adso snuje opowieść o przygotowaniach, które przeżył gdy był nastolatkiem, a fikcyjny autor wewnętrzny rekonstruuje ją z wtórnego tłumaczenia.

W książce Kulczaka narratorką jest Enheduanna – sumeryjska kapłanka, księżniczka, poetka, żyjąca około XXIII w. p.n.e., autorka hymnów religijnych, pierwsza znana z imienia twórczyni literatury. Któż lepiej od niej mógłby znać skomplikowane koligacje bogów i ich niezwykle przygody. W końcu to ona miała bezpośrednią łączność z bogami. Autorka opowieści przyznaje – *Tak sobie myślę, że Nanna, ten jeden z wielu przedstawicieli boskiej gromady, powiedział mi wszystko, co mógł mi zdradzić. Przecież sam był ojcem, synem, bratem i mężem.*

Enheduanna nie ukrywa się. Wielokrotnie zwraca się do czytelnika: *Wierzcie lub nie, ale nastał wreszcie czas, że wszystko na ziemi i w niebie*

zostało uporządkowane. Przy-
znaje się nawet do pewnej
niewiedzy: *Mówi się, że (dwaj*

PROTOKÓŁ
kulturowy

Nr 93/2025

bogowie) w przyjaźni wielkiej żyją aż do dzisiaj... Jak przystało na autorkę natchnionych religijnych tekstów Enheduanna toczy swoją narrację powoli i dostojnie, nawet gdy bogowie się kłócą lub toczą walkę. Język jest wzniosły, przypomina chwilami stare tłumaczenia Biblii. Jednak autor, tym razem fizyczny autor, puszcza chwilami oko do czytelnika, wrzucając niespodzianie całkiem współczesne, potoczne wyrazy i zwroty.

Oto Enlil wybałuszył oczy ze zdumienia.

Enki przekazuje swojej matce sposób na stworzenie ludzi słowami – *Procedura mówi, że należy ją (glinę) zagęścić i wymieszać z... hmmm... z wnętrzem bogów.*

Na jednej z uczt bogini ma na sobie *wieczorową suknię.*

Wierna służąca mówi do bogini – *Myślisz, że (Enki) nie odpuści tak łatwo?*

Światy bogów i ludzi miesza się z sobą bardziej niż w mitach greckich. Oto bogowie stworzyli ludzi, aby im usługiwali. Mają swoje stolice a w nich pałace, z których czasami ukazują się ludowi. Składają sobie wizyty, płynąc barkami po Eufracie. Przypominają królów, całkiem jak w rzeczywistej strukturze Sumeru, gdzie nie było jednego państwa, tylko państwa-miasta którymi władali królowie-kapłani.

Skoro już ludzie stworzyli sobie jakąś wizję zaświatów rządzących, opiekuńczych, karzących, to nic dziwnego, że tworzyli bogów „na obraz i podobieństwo swoje”. Sumeryjski panteon nie jest wcale wyjątkiem. Bogowie kłócą się, upijają do nieprzytomności, zaciekle walczą o władzę, choć są bliskimi krewniakami, nie są też wszechmocni. Ubocznym produktem ich stwórczej działalności, owocem popełnionych przez nich błędów są przerażliwe potwory, z którymi nie mogą sobie dać rady. Wtedy przydają się półboscy herosi. Tacy jak Gilgamesz, władca Uruk, syn bogini Ninsun i króla Lugalbandy. Bez jego dokonań opowieść o sumeryjskich wierzeniach nie byłaby pełna.

Enheduanna kończy swą opowieść pięknym apelem do czytelnika.

...szanuj swój czas, czytelniku. Dbaj o siebie i doceniaj to, co widzisz wokół siebie. Jeżeli jest jedna rzecz, której nauczyłam się od bogów, a którą pragnęłabym ci przekazać, to jest nią pokora. Pokora wobec tego, co ponad naszą głowę się dzieje i wobec tego, na co żadnego wpływu nie mamy.

Do rychłego zobaczenia!

Wypada zatem trzymać starożytną poetkę za słowo i oczekiwać kolejnych przygód Ana, Enlila, Enkiego, Nanny, Enheduanny i całej reszty ich boskich krewniaków. A autorowi pogratulować dzieła i podziękować za zamieszczony na końcu rejestr bogów. Trudno bowiem spać o ich egzotyczne imiona tak różne od Zeusa, Afrodyty, Aresa, Artemidy czy Niobe.

Przemysław Kulczak - „Mitologia sumeryjska. Stworzenie świata”, Wydawnictwo Replika, Poznań 2025.

Stefania Pruszyńska

Nokturny z liry nocy

Tu słońce tego lata hojne. Skwar. Cisza stoi
ze snem wokół. Trawy już dzisiaj w rude nici
steżwały. I tych z zielonymi oczami żadne
źdźbło ani drgnie. Sosny jak posągi. Dęby
osowiały. Cień do cienia się nie chyli.

A ile trzeba zwabić rojów motyli, by zerwać
z ich skrzydeł taniec jeziornego oddechu?
Albo Twój beztroski śmiech przywołać?
I w zapomnieniu o chwilowym ziemstwie
razem jak rozbrykane dzieci łaskotać księżyc
na niebiańskich łąkach, śpiewać w ptakach
wielobarwnych wieczności, z rozbawieniem
trącać struny białych skrzypiec i fortepianów,
by echo niosło w pieśniach nieśmiertelność...

Eugeniusz Toman

Chwila z tobą

Monice

Ta chwila z tobą
córeczko tajemnicza
manno nieuchwytna
układa się w wiersz
odbija w lustrze

Ta chwila z tobą
życie i marzenie
zakłète w słowie

Jestem będę
nigdy nie opuszczę
choć bywałem
zatracony

Poezjo
lot ku tobie
w (nie)jasność
istnienia

Agnieszka Mąkinia

Brzoskwiniowa melodia
Przysłodyczowana
szczęście człowiekiem
bogate

Gabriel Roszak

Anioł stróż

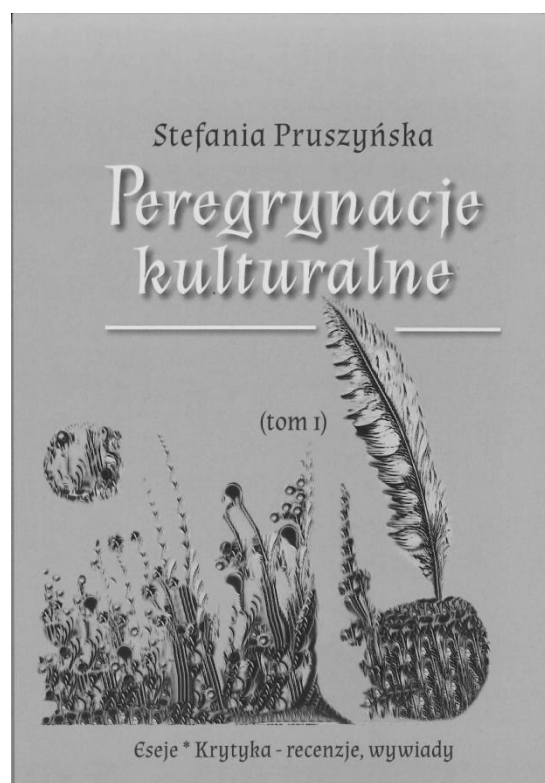
Nocne bezdroża nieba
Po których snują
Drogi Mlecznej smugi błękitnawe
I rozsiew
Gwiazd połyskujących

Wyniosły księżyc
Na ziemię senną
Jak oko boże spogląda
By świtem
Przywrócić porządek
Życia

Ewa Szafranek

Z podróży

twarze
znane i nieznane
młode dojrzałe
blade szare zmęczone
smutne
z tapetą zgryzoty
obojętności niezadowolenia
otulone czapką szalem
twarze północy
jakże inne
od twarzy południa
jaka szkoda



Mieć wilcze natchnienie

„Raz usłyszeć siebie w sobie...” czytam w wierszu Jerzego B. Zimnego pt. „Młyńskie koło”, to refleksja, marzenie towarzyszące drodze niejednego artysty... „Santa ścierka” i „requiem ten wiersz” prowadzą nas przez pierwsze teksty nowej książki poety pt. „Hipoteka”. Autor pozostaje wierny swej poetyce pełnej ekspresji i te wysokie temperatury wiodą nas przez teksty kolejnego tomiku. Pacierz, który zrzucił skórę jak wąż „sen zrobił dziurę w ścianie”. Wreszcie noc, która winna zesłać ukojenie. Ale i ona „wdarła się...”. Motywy dynamiczne, krańcowe, tragiczne niosą te wiersze m.in. „Labirynt”, „Schizofrenia”, „Wiersz z kosza...”. Czytamy strofy „porzucone”, w koronie cierniowej, poezja jest podejrzana... „Skuteczna jest tylko śmierć”. W tej sytuacji, cóż pozostaje? Sztuka, która (bywa), że ocala. Miłość, o której marzyć, pamiętać. Imaginarium Jerzego B. Zimnego bliskie poetyce romantycznej, postromantycznej... I nie jest to zarzut. Stąd i bohater-narrator tych wierszy (zwłaszcza w cyklu pierwszym książki) tak bliski romantycznej proveniencji – Gustaw-Konrad, Prometeusz... M.in. w wierszu „Zawsze jest święto”.

„w gorączce, jestem grzbietem
dumnych gór, jestem końcem
od którego zaczyna się szczęście,
byłem w jądrze światła wytrącony
w mrok, w labiryncie z którego
wynosi się tylko szkielet, lata”

„Mówią, że jadę za szybko...” czytamy w wierszu „Podróż” otwierającym książkę. Swą drogę przez życie i sztukę, mimo chwil słabości i wątplenia, odbywa człowiek-artysta silny, bojownik, deklamujący z Herbertowską nutą.

„Idź swoją drogą mówi wiatr
głowę unieś jak sztandar bojowy”

(„Mapa pogody”)

Ulubionym i częstym środkiem organizacji tekstu Jerzego B. Zimnego jest przerzutnia, nazwana przez autora w jednym z wierszy „zgrzytliwą składnią” (przeskocznia, zazębianie, zwarcie międzywersowe – jak chce słownik terminów literackich), powodująca wzmocnienie toku składni, intonacji i znaczenia wypowiedzi. Ten składniowy środek wydatnie podnosi ekspresję tekstu. Oto nagle przysłowiowa „siła uczucia” powoduje pauzę, zatrzymanie się, załamanie głosu autora. Jakby po chwili wahania, przenosi część drugą wypowiedzi do następnego wersu. Prowokuje czytelnika do dokończenia, w przeczuciu – wersu będącego zwykle całością semantyczną, a potem zderzenia ze słowem autora, w następnej linii tekstu.

„W skrytości ducha anioł
mojej matki, w odpuszczeniu
grzechów ojciec. Czuję ciepło
w ciele powoli stygnącym.”

(„Drzewo genealogiczne”)

Jak sytuuje się, odczytuje „Hipoteka”, nowa książka Jerzego B. Zimnego na tle poprzednich publikacji? Autor (ku satysfakcji czytelnika) pozostał wierny swemu głosowi. Czytaliśmy, pamiętamy – „W jednej ręce karabin, w drugiej skrzypce”... W „Hipotece” refleksja uległa rozszerzeniu, pogłębieniu. Mniej w tych nowych wierszach rekwizytów, sytuacji bardzo osobistych, szczegółowych relacji „życiowych”. Unosi się nad wierszami „Hipoteki”

tragiczna nuta ludzkiego losu, prometejska, romantyczna – Nr 93/2025
prowadząca jednak do aktu
satysfakcji artysty, który może powiedzieć, zapisać:
jestem, mogę, nie kłamię...

„Bóg mnie prowadzi za rękę, idę z modlitwą bluesa
i nie jestem sam, uśmiecham się do ludzi.”

(„Moja piosenka”)

Sztuka, piękno, miłość „stają się”, rosną w cenę dopiero wtedy, gdy ulegają degradacji. I ta narracja wydaje się być ważnym, osobistym osiągnięciem autora, wyróżniającym... Bywa, że degradacja poetyckiej rzeczywistości (profanum) prowadzi do jej sakralizacji. A więc proces odwrotny...

„Słońce świeci jak slogan o dojrzałych bananach,
twoje piersi już dojrzały w moich dłoniach”

(„Dwuwersz prawdziwy”)

Twórczość Jerzego B. Zimnego przyciąga czytelnika swą „chropowatością”, nie brak tu brutalizmów, ostrych, zaskakujących tekstów. Gdy trafiają się nam wersy czułe, sentymentalne, już w kolejnych słowach zostaną one skreślone, zdegradowane. Ba, wyśmiane... Można by napisać... Poezja to męska. Chłopaki nie płaczą. Obok przysłowiowej, poetyckiej narracji, wiele w „Hipotece” deklaracji, wprost zapisanych pouczeń, moralnych wskazań, wynikających z autorskich zobowiązań wobec czytelnika, rodziny, potomnych. Jak czytać, rozumieć tytuł omawianej książki? Za zgodą autora zabrałem sobie to słowo do wiersza mu przypisanego, nadając hipotece wymiar egzystencjalny wobec śmierci. Jerzy B. Zimny połączył swój tytuł dwoma węzłami. W cyklu pierwszym „Zielona noc” obejmuje (upraszczając) teksty wobec, filtrowanej przez doświadczenie człowieka i pisarza, literackiej, filozofującej tradycji. Tu także – twórca wobec słowa... W cyklu drugim („Wieczystość”) wyróżniają się swą nostalgiczną nutą wiersze związane z rodziną, z kręgiem osób bliskich. Po pierwszym cyklu pt. „Zielona noc” czytamy część drugą książki – „Wieczystość”, to bardziej rozrachunek człowieka niż artysty, wracającego do rodzinnej przeszłości, obrazów dzieciństwa, słów modlitwy, postaci bliskich...

„Biorę prawnuka na rękę i patrzę
w przyszłość bez powiększenia.”

W odróżnieniu od cyklu pierwszego, więcej tu jasnych, pogodnych wersów. I nie przeszkadza nam, że są one tak często doprawione sarkazmem, goryczą. „Za dużo lat za mało jednej chwili...” czytamy.

Wobec minionych „dwóch siekier” – 77 lat pojawiają się i nuty rozrachunku, zapewnienia o wiernym uczuciu, a także (nierozłącznie) testamentalne przekazy, „polecenia” odnośnie poetyckiej schedy.

„Z treści wynika, że jestem ukryty w wierszu,
i trzeba mnie odkryć czytając bardzo głęboko,
zgrzytliwa składnia odsłania poblakłe metafory”

(„Epitafium przedśmiertne”)

Jerzy B. Zimny nie unika wyrazistych metafor, określających sytuację dojrzałego twórcy, pragnącego głębokiego, wyrazistego odczytania, poety przekonanego o sile i prawdzie swego doświadczenia – człowieka, pisarza. Tak – „Mieć wilcze natchnienie do pióra, jak zieloną górę z winnicą...” („Fides et Ratio”).

Jerzy B. Zimny – „Hipoteka”, Biblioteka ReWirów,
Poznań 2023.

Sergiusz Myszograj

Wczoraj a może dzisiaj

Rozwoziciele chleba - pierwsi zaczynają pracę, zanim wszędzie słońce. Ich wózki stukają o bruk, pierwsze przekleństwa - hmm... przekleństwa i okrucy, codziennie dokładnie w tych samych miejscach na krzywym chodniku. Zaraz po nich wstają ci, co za nic zostali skazani: zgięci w pół, z grabiami i motykami w rękach, karne kompanie, cheszą pod nadzorem trawniki z resztek snu i papierków - po cukierkach. Palą liście i papierosy.

Rozwożona następnie jest prasa - mokry druk jeszcze na palcach, krzykliwe nagłówki szleszczą cicho. Ze skrzynek i furgonetek wysypują się teraz stragany.

Wszystko na wagę. Kwiaty na targach pachną wilgocią, truskawki ziemią i słońcem, którego jeszcze nie ma. Ptaki już dawno nie śpią, gardła im drżą od świtu, teraz znajdują okrucy, które wcześniej pozostawili po sobie dostawcy pieczywa - ptaki mają swoje umówione miejsca. Na ich śpiew z kolei nachodzą śmieciarze - cisi królowie tylnego planu. Zbierają butelki, kartony, rozchodzą się w bramach i zaułkach. Wraz z nimi przychodzą pijacy niższej rangi - od wczoraj albo sprzed lat. Podpierają ściany, szukają ławek, szukają niedopałków, dłubią w kieszeniach - głęboko sięgając po drobne, ich studnia pragnienia jest zawsze pusta niestety. Miasto ziewa szeroko, przeciąga się między kioskami a straganami. W bramach budzą się koty, w kawiarniach zaczynają syczeć ekspresy. Pierwsze tramwaje piszczą na zakrętach, zostawiając na szynach srebrne ślady poranka. A potem pojawiają się oni - dozorczy, płatni zabójcy szczurów, zaspani, ziewający szeroko jak bramy, które otwierają. Klucze brzęczą im w kieszeniach, miotły leniwie omiatają chodniki, z resztek nocy. Przeganiani z krawężników pijacy ustępują im miejsca, ptaki przysiadają na wiadrach dozorców, jakby sprawdzały, czy wszystko zostało wymiecione. W południe stragany są już rozgrzane. Kwiaty tracą zapach, rozchylają płatki na pełnym słońcu, truskawki ciemnieją, ręce straganiarzy lepią się od soku. Resztki ciepła w bułkach, rogalach - już zgasły. Przy stołach na zewnątrz kawiarenek siadają starzy gracze: przesuwają pionki i karty, przyciskają je mocno do blatu. Ktoś wyciągnie dzisiaj asa z rękawa ale jeszcze nie teraz, ktoś wyzionie dziś ducha. Na ławkach, gdzie wcześniej spali pijacy, teraz matki karmią dzieci, krusząc bułki gołębiom. Trawniki, z których zniknęły nocne papierki, teraz pełne są stóp: uczniowie, zakochani, starszankowie z psami, jakieś cienie. Gdzieś, na zapleczu straganu, handlarz zrywa cenę, liczy drobne, wzdycha. A potem słońce zaczyna odpuszczać. Stragany składają się cicho, jeden po drugim, jak domki z oznaczonych kart, wszystko rozniesie się po zakamarkach. Śmieciarze z popołudniowej zmiany wracają - zbierają resztki, zmiatają zwiędłe płatki i ptaki, odklejają stare plakaty z latarni. Miasto szykuje się do wieczora. Zapalają się pierwsze neony, piwo płynie do szklanych kufli i wyszczerbionych żył. Pijacy niższej rangi łączą się z wyższymi - teraz już nie wiadomo, kto kim był rano. Ptaki milkną, zastąpione muzyką z otwartych

okien. Przeskakuje gdzieś gramofonowa igła na czarnej płycie a może to jazz? Piekarze powoli szykują się do nocnej zmiany. Jutro znów ktoś rozwiezie chleb, stolarz zrobi kolejne krzesło. Wracca samolot z zachodu a inny leci na wschód. Widzę to wszystko bo moje miasto, zawsze śpi z jednym okiem otwartym.

Maciej Pająk

Szanowni romantycy...

...wielbicie subtelności w poezji wszelkiej — wybaczenie. Tekst ten ocieka testosteronem, potem, a momentami nawet krwią, rozcieńczoną na łamliwych falach oceanu. Tak, drodzy poszukiwacze wzruszeń — Ocean Atlantycki przepłynąłem dwukrotnie jako oficer nawigacyjny na pokładzie tankowca o malowniczej nazwie *Cielo do Biscaglia*.

Ale po kolei. Zanim moja szlachetna, oficerska dłoń pochyliła się z naostrzonym ołówkiem nad mapą nautyczną wydaną przez Admiralicję Brytyjską, musiałem przejść chrzest bojowy. Dwa sześciomiesięczne rejsy: najpierw jako zwykły marynarz pokładowy, potem jako asystent. Tak stanowią przepisy — i zapewne taka też jest wola starego, złośliwego Posejdon, który nie raz rozdmuchiwał fale do granic możliwości, tylko po to, by mój rozkołysany błędnik prawie nigdy się nie nudził. Na pierwszy pokład wszedłem niczym Izmael z *Moby Dicka* — jako świeżo upieczony marynarz. Brutalne zderzenie z rzeczywistością. Po latach spędzonych w Akademii Morskiej nie żywiłem już większych złudzeń co do romantycznego wymiaru żeglugi dalekomorskiej. Ach, złośliwy Posejdonie... na mazurskich szlakach wmawiałeś mi, że jestem rybą, a nie stąpającym po lądzie hominidem.

Pierwszy statek — nieco zardzewiały, osiemdziesięciometrowy kontenerowiec — powitał mnie chłodem i brutalnością rosyjskiej drużyny pokładowej. Koledzy załoganci (w niesprawiedliwych proporcjach - trzech na jednego) próbowali mnie złamać, wbić w pokład, zniechęcić do rejsu i zmusić do wcześniejszego powrotu na ląd. Nie wiem, czy takie jest prawo morza, jednak być może - ciśnienie kogoś do limitu wytrzymałości jest zwyczajem naszych wschodnich sąsiadów. Dość szybko jednak opanowałem rosyjski w stopniu pozwalającym na całociowe niemalże porozumiewanie się. Powoli, niczym poczwarka z „Przemiany” Kafki, zacząłem upodabniać się do tych twardych, wytatuowanych marynarzy. Piłem — jak nakazuje zwyczaj — dużo. Grałem w karty, siłowałem się (z sukcesami) na rękę, nie pękałem podczas sztormów ani przy wykańczającej fizycznie pracy — często polegającej na ręcznym mocowaniu kontenerów. Wierście mi, ręcznie przerzuciłem tony żelastwa. Zdarzało się, że w hiszpańskich portach, podczas zejścia na ląd, legitymowała nas bardzo często lokalna policja. Cóż — nasze ogolone głowy, umięśnione sylwetki i ogorzałe twarze raczej nie wzbudzały zaufania.

A jednak, mimo potu i słonych łez, zdarzały się chwile niemal mistyczne. Sylwetka wieloryba, bezkres gwiazd i planet, zachody słońca, wirujący przy kołysaniu statku księżyc, stada pędzących delfinów, przelotne błyski latających, skrzydlatych ryb. Czy to możliwe, że wtedy — choćby na chwilę — stawałem się poetą?

Maria Magdalena Pocgaj

Dar spotkania

Różne miewamy sny. Najczęściej nie zdajemy sobie z tego sprawy, że akurat śnimy. Nieraz są tak realne, że wydaje się nam, iż to rzeczywistość, z której potem budzimy się zaskoczeni. Znałam osobę, która potrafiła panować nad swoim snem do tego stopnia, że gdy ten zmieniał się w koszmar, sama sobie, w tym śnie nakazywała: obudź się! W dawnych czasach, kiedy śnili się zmarli, mówiono: sen mara – Bóg wiara, co mniej więcej znaczyło, by nie wierzyć w nocne majaki, znaki, czy przepowiednie. A co, jeśli przyśni się cała grupa osób, które już nie żyją?

Dzisiejszej nocy miałam taki sen: jestem w jakimś mieszkaniu, w osiedlowym bloku. Siedzę na tapczanie w gronie znajomych literatów. Po mojej lewej stronie Anna Zabacka, po prawej przy drzwiach Zdzisław Kaczmarek (nie widzę jej, lecz doskonale słyszę jej głos). Po mojej prawej Łucja Danielewska i chyba Gerard Górnicki. A dokładnie vis à vis nas siedzi na krześle Lech Konopiński. Wszyscy w dobrej komitywie, rozmowa dotyczy czasów naszej – literatów – świetności, kiedy spotykaliśmy się w siedzibie przy Noskowskiego 24. Właściwie tylko słucham wypowiedzi kolegów, bo sama jakoś nie mogę się zdobyć na zabranie głosu, choć wiem, co chciałabym powiedzieć. A oni po prostu wspominają dawne, dobre czasy. Głosy mają spokojne, ciepłe. Patrzę na Lecha, wychyłego w naszą stronę, ma taką pogodną twarz. I nagle zdaję sobie sprawę, że przecież oni wszyscy nie żyją. Nie czuję przy tym żadnego lęku, żadnej przykrej emocji. W tym momencie zaczyna dzwonić moja komórka. Wstaję i mówię: przepraszam, muszę odebrać i na chwilę opuszczam pokój. Wychodzę z bloku. Komórka natychmiast milknie, nie ma śladu, że ktoś dzwonił. Zamierzam wracać. Ale dokąd? Nie widzę ani tego bloku, ani tego osiedla, ani nikogo, by o cokolwiek zapytać. Jestem sama i zupełnie gdzie indziej, niż przed chwilą. Nie mogę tego pojąć i ... budzę się. Ale nie w przeświadczeniu, że był to koszmar. Jestem spokojna, mam poczucie, że dane mi było ich zobaczyć. Gdzie? To nieważne. Liczy się dar spotkania.

13 grudnia 2023 zmarł Lech Konopiński.

Celina Lesiewicz

Ścieżki i zaułki

10 kwietnia 2025, czwartek

Kolejne spotkanie na „ZAMKU” z cyklu „ZAMEK czyta”. Tym razem poświęcone latom dziewięćdziesiątym ubiegłego stulecia, czyli tzw. transformacji ustrojowej. Tytuł spotkania: „Dzika dekada”.

Doskonale pamiętam tę szaloną dekadę – nie byłam już dzieckiem tylko studentką, młodą mężatką. Pomagałam z przyjaciółmi ludziom niepełnosprawnym, pracowałam w radiu i robiłam wiadomości. Urodziłam córkę. Moja Mama, Ewa Lewicka – Łęgowska, została posłanką SLD w Sejmie II kadencji. Nam żyło się dobrze. Byliśmy beneficjentami tamtego systemu. Tymczasem rze-

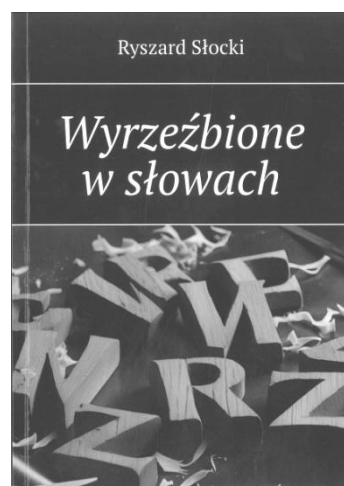
czywistość wcale nie była taka różowa – upadały zakłady

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 93/2025

pracy, szalało bezrobocie, prawo było bardzo niestabilne, wolne media dopiero się kształtowały. Chociażby taki fakt: muzyka alternatywna nagle stała się mainstreamowa. Wszystko było świeże, nowe; handel na łózkach polowych na ulicy, najdziwniejsze, polityczne postaci i efemerydy. Słowem – „Dzika dekada”. „Dziki Wschód”. Fortuny, które brały się z niczego; dopiero wkraczające na nasz, polski rynek narkotyki. Młoda demokracja, która okazała się na tyle silna, że do Sejmu zostali w większości wybrani postkomuniści. Moja Mama zagłosowała na Konstytucję, ja ją – jako dziennikarka informacyjna w radiu – przygotowałam. Zatem mogę śmiało i z niezwykłą dumą powiedzieć, że moja Rodzina – Łęgowskich – miała swój udział w przyjęciu Konstytucji w Polsce. Bardzo ciekawy, niezwykły czas, który zobaczyłam ponownie w... Paragwaju. W tym południowoamerykańskim kraju do 1989 roku – ponownie jak u nas – panowała dyktatura, która upadła. Nastąpiła młoda demokracja. I co ja zobaczyłam w Paragwaju? Wszechobecne stragany „szczęki” na ulicach, wszechobecne markety niszczące drobny handel... Ogólny nieład i zamieszanie wokół wyborów; chaos, prowizorka, czyli coś co się dopiero wykluwało ze starego systemu w nowy.

18 kwietnia 2025, piątek

NAPOTKANY CZŁOWIEK: Wielki Piątek. Uroczysta, podniosła msza święta, liturgia w mojej Parafii. Wierni, dla których Męka i Śmierć Pana Jezusa coś istotnego znaczą, przyszli i chcą przeżyć nabożeństwo w odpowiednim do chwili stanie duchowego skupienia. Tymczasem obok mnie siedzi w ławce starsza kobieta, która nagle zaczyna kaszleć suchym, męczącym, drażniącym kaszlem. Pomyślałam, że znam ten rodzaj kaszlu – wszyscy go znamy – który przypłtuje się z niczego i dręczy, jest tak męczący, że lecą łzy, kaszlący ma wrażenie, że słyszy go cała sala i nie może się z nerwów opanować, wobec tego kaszel narasta i robi się błędne koło męki. Skłoniłam się do kaszlącej Pani i mówię: „Pani kochana, ja znam to uczucie. To można szalu dostać. To z nerwów.” Pani spojrzała na mnie z wdzięcznością i zrozumieniem, i powiedziała: „ten zapach kadzideł...” Rozładowałam jednak atmosferę, Pani poczuła, że ktoś ją rozumie i... kaszel jakoś minął. Pomyślałam – takie niby nic, taki niby drobniaczek, a przecież wykonałam dobry uczynek. W Wielki Piątek, w dzień Męki Pańskiej.



Kinga Młynarska

Zapamiętane, przeżyte, obudzone

„Opuszczone tarasy” wcale nie są takie puste. Kryją się tam słowa – schowane w dźwiękach, kolorach, we wspomnieniach czy wirujących drobinach piasku. A trzeba otwarcie przyznać już na wstępie – słowa u Sławomiry Sobkowskiej-Marczyńskiej chcą być nieuchwytnie, skłębione w kątach zapomnienia, w zakamarkach uczuć. Poetka wydobywa je z pełną subtelnością, z uwagą i czułością.

Tak właśnie postrzegam teksty z tego tomu, zbudowane z wyrazów, które nie chcą się ujawnić. Co prawda tworzą mapy pamięci, budują emocjonalną ścieżkę przeżyć czy pejzaże z samego wnętrza duszy, ale jednak te literackie obrazy są pociągnięte delikatną mgiełką, pokryte patyną czasu, otulone pianą z chmur. Takie właśnie narzędzia opisu wybiera podmiot Sobkowskiej-Marczyńskiej – i to właśnie w tej kreacji możemy znaleźć odpowiedź na pytanie skąd w słowach tyle dystansu.

Przez wiersze przemyka kobieta. Bezpieczniej czuje się w półcieniach, półemocjach, „we mgle jest dobrze”. Przebywa z sferze niepewności, w „gąszczu niewiadomych”. Pojmuje świat poprzez zmysły, wyobrażenia, intuicję. „Raczej się domyślam niż wiem / raczej przypuszczam niż mam pewność” – wyznaje. Przędzie swoje „jedwabne płomyki” i tka liryczną opowieść „z rosy”.

Świat natury jest mocno wpisany w tożsamość duchową podmiotu. Otacza ją przyroda w sensie fizycznym, ale jest zakorzeniona i w jej duszy. To, co namacalne jest spójne z metaforycznym postrzeganiem siebie oraz swojego miejsca w świecie. Naturalne jest więc to, że „chmury mieszały w myślach”, że „od zachodu wdziera się do domu sosna”.

W wierszach z „Opuszczonych tarasów” nie stawia się pytania o sens zdarzeń. One po prostu są. I to jest dobre. To jest codzienne i oswojone. Podmiot nie dziwi się sytuacjom z pogranicza surrealizmu, magii czy snu. Przecież to środowisko naturalne. Podobnie jak zmagania ze słowami. Z ich ulotnością, kruchością i niemym uporem.

Podmiot w słowach szuka ugruntowania świata. To w nich odbija się to, co zapamiętane, przeżyte, kiedyś obudzone. Słowa są przychylne kobiecie – chętnie obdarowują literami. Lecz ona korzysta z tej uprzejmości z umiarem. Bierze tylko tyle ile jej trzeba, nie nadużywa. A gdy poczuje potrzebę, buduje wiersz tylko z pięciu słów – i „wchodzi w ciszę”. Taka jest moc słów. Magia liter. Sławomira Sobkowska-Marczyńska pyta o sprawy fundamentalne, m.in. – „o początek i koniec”, „o przenikanie się dobra i zła”, a więc szuka Boga. Jego „tchnienia”, obecności, znaku czuwania. Czy to właśnie Boga odnajduje w codziennym rytmie dnia? W podmuchach wiatru, który zaciera przeszłą opowieść, by zrobić miejsce na nową?

Co zatem podmiot znajduje w swoich poetyckich wędrówkach? Chyba siebie – kobieta

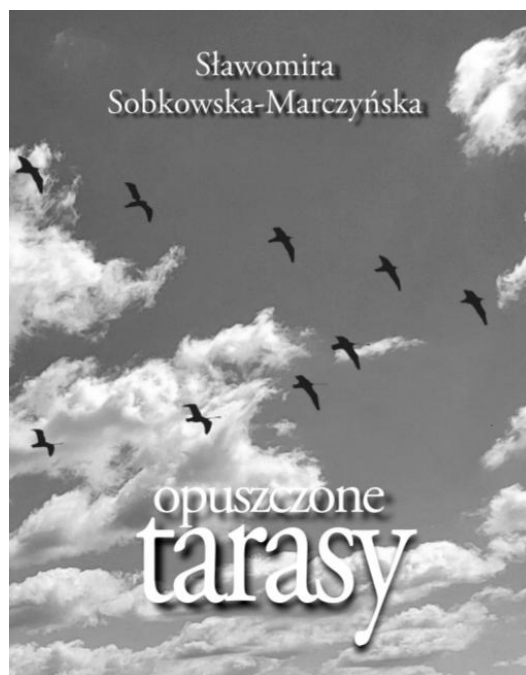
wskazuje na momenty, postaci i zdarzenia, które ją w jakiś sposób ukształtowały. Przesypują się więc litery jak ziarna maku, tworzą istotne słowa – jak np. matka, rodzina, dobro, miłość. Sławomira Sobkowska-Marczyńska pozwala czerpać swojemu podmiotowi ze zbioru liter coraz śmielej. Tworzy już bardziej wyraziste obrazy, kobieta nie unika konfrontacji z uczuciami, jakie akurat wyłaniają się spomiędzy słów. Dlaczego to aż tak ważne i skąd ta obsesja leksykalna w odczytywaniu tego zbioru? Bo oto okazuje się, że świat zbudowany jest z liter. Cały świat mieści się w języku i nazywając go – stwarzamy. Podmiot niekiedy usiłuje wskreszać – również za pomocą słów. I na chwilę się mu to udaje. Powracają skojarzenia, zapachy, uśmiechy, zapomniane detale wyostają się na krótki moment.

A jeśli już nazwiemy to, co kryje się w mroku, skryte pod popiołem czy wyrosłe na nim – to, czy wtedy będzie łatwiej zrozumieć? Także i na takie pytanie zdaje się szukać odpowiedzi podmiot Sobkowskiej-Marczyńskiej. Jednak w obliczu pewnych spraw, nawet i poetom brakuje... słów.

Wiersze z „Opuszczonych tarasów” wchłaniają się poprzez zmysły, krążą w krwiobiegu czytelnika i docierają do unerwionych tkanek. Poruszają. Zachwycają raz poetyckością, w jaką podmiot przyobleka swoje stany, to znów – prostotą widzenia, jak choćby w oglądaniu matki... Niekiedy zaskakują lekkością i humorem. Ostatnia część tomu to zbiór wierszy miłosnych – i w nich poetka potrafi być przewrotna. Świetnie tu widać wiodącą cechę poezji – niejednoznaczność, przede wszystkim w konkretyzowaniu adresata wyznań podmiotu.

To wszystko jest bardzo bliskie, ludzkie. Wiele tekstów poświęca poetka także konkretnym osobom – to piękne, liryczne portrety. Zachowają się w słowach, nawet, gdy wszystko inne już przeminie.

Sławomira Sobkowska-Marczyńska - „Opuszczone tarasy”, Wydawnictwo: ATENA, Poznań 2024.



Paweł Napierała

„Jak żywe” — pejzaż pa- mięci, pejzaż mitu

Trudno dziś o prawdziwe wzruszenie w muzeum. Mijamy obrazy jak kolejne witryny, klikamy, przechodzimy dalej. Ale są jeszcze tacy, dla których obraz nie kończy się na spojrzeniu, lecz rodzi cały świat wewnętrznych drzeń. Jan Wojciech Malik, poeta i malarz, po raz kolejny udowadnia, że malarstwo może być impulsem do głębokiej, wielo-poziomowej literackiej refleksji. Tomik, który trzymacie Państwo w rękach, to nie tylko poetycki komentarz do twórczości Józefa Chełmońskiego — to pełnokrwisty pejzaż duszy, tkany z melancholii, ironii, czułości i bezlitosnego spojrzenia na to, co było, a już nigdy nie wróci. Ten zbiór to literacki pendant do malarstwa Chełmońskiego — opartego na chłopskim realizmie, opromienionym światłem mitu. Malik, świadom tej gry między dokumentem a fantazją, wydobywa z obrazów nie tylko ich formę, ale przede wszystkim ich wewnętrzny rezonans. Obrazy stają się tu pretekstem do rozważań o przemijaniu form życia, o tym, jak pejzaż ulega zmianie — nie tylko przez czas, ale też przez nasze wyobrażenia o nim. Wiersze są pełne nostalgii — ale nie tej banalnej, pocztówkowej, lecz głęboko przemysłanej. „Nić pajęcza nietrwała / uleciała w świat porwana przez wichry” — pisze autor, tworząc metaforę nie tylko zaginionego świata, ale też niestabilności samej pamięci, kruchości naszej percepcji przeszłości. Malik wie, że Chełmoński nie malował rzeczywistości takiej, jaka była — lecz taką, jaką chcielibyśmy zapamiętać. W wielu wierszach odbija się smutek przemiany: „Pastuch elektryczny nic pięknego”, „wołów nie znajdziesz w zmechanizowanej oborze” — to nie tylko lament nad utratą krajobrazu, ale i gorzka uwaga o dehumanizacji współczesnego świata. Ale jest tu też ironia — choćby w wersie „Każdy Polak jeździ konno”, który rozbraja mīt narodowy z czułością i trzeźwym okiem.

Tomik Malika nie jest tylko hołdem dla malarza — jest też aktem krytycznego współuczestnictwa. Autor, sam będący malarzem, potrafi dostrzec, gdzie forma przeważa nad treścią, gdzie kolory służą zakłamaniu biedy, gdzie pejzaż jest zbyt piękny, by był prawdziwy. Z wierszy „Bieda”, „Obraz” czy „Ryby” przebija świadomość klasowego kontekstu sztuki Chełmońskiego — obrazy chłopów, dziś ozdabiające salony, kiedyś przedstawiały ich jak niewolników. Malik stawia pytania o estetykę opresji i rolę sztuki w jej mitologizacji. A jednocześnie — nie odbiera tym obrazom mocy. Tytułowe „jak żywe” odnosi się przecież do iluzji życia, do zachwyty nad detalem, nad ruchem, nad trwaniem w kadrze. Malik pozwala tym iluzjom trwać, bo wie, że są one nieodzowną częścią naszego kulturowego dziedzictwa. W jego poezji nie ma więc cynizmu, jest raczej mądra zgoda na to, że obraz i pamięć to nie to samo — ale że nie mogą bez siebie istnieć. Nie sposób nie wspomnieć o formie — oszczędnej, klarownej, pozbawionej zbędnych ozdóbek. Malik pisze językiem prostym, często mówionym, nie boi się frazy chłopskiej, wiejskiej, realistycznej. Ale w tej prostocie kryje się ogromna siła — bo każda z tych fraz niesie obraz, wspomnienie, pytanie... Tomik „Jak żywe” jest ważnym głosem nie

tylko w poetyckim dialogu z Chełmońskim, ale też w szerszym, społecznym

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 93/2025

rozrachunku z naszym wyobrażeniem o przeszłości. Dla jednych będzie to zbiór wzruszeń nad światem, który przeminął, dla innych — zbiór niewygodnych prawd o tym, jak bardzo ten świat był zmitologizowany i zakłamany. I może to właśnie największa siła tej poezji, że potrafi być jednocześnie piękna i bolesna, że potrafi zatrzymać nas w pół kroku, między zachwytem, a refleksją.

Jan W. Malik - „Jak żywe”, Wydawnictwo Arty-
styczne, Poznań 2025.

Jan W. Malik

Nić

Pajęcza sieć
wypełniła przestrzeń
zamkniętą od góry
szklanym sklepieniem.
Pajęczek snuje sieć
nad salami muzeum
u stóp zamku Przemysława.
Wiatr przyniósł babie lato.
Obraz nici pajęczej wędruje
targany wiatrem.
Nić pajęcza nietrwała
leci w świat porwana.

JAN WOJCIECH MALIK



JAK ŻYWE

Olga Ialić-Krowicka

Pomiary nadziei

Jesteś w mojej częstce
a z cząstek
składa się ciało
przepływa energia
wszedłeś do mojego
pola elektromagnetycznego śmiało
przez pomiary nadziei
która rośnie i maleje
w zależności
ile pionów połknęłam
nadzieja przepłynęła
Tesla nad Niagarą nadal mieszka

Sławomir Krzyśka

* * *

Cisza,
głos zastygły
w bezdźwięcznej modlitwie.

To tutaj osiada czas,
jak ptak bez gniazda,
ze schyloną głową.

Oczy bez powiek,
u stóp ikon,
czuwają nad snem
zapomnianym.

Kruchta pamięci,
w niej, płomień,
nie ogrzewa dłoni,
rozświetla rany.

Radosław M. Bartz

platonicznie

siadam obok siebie bo przy tobie zajęte
oparcie plastikowego fotela murem
między nami pokolenia
starsze panie z zakupami
panowie dżgają je parasolami w łydki
tramwaj jeszcze nie ruszył
a już brak mi słów
czwarty dzień tygodnia
ósma podróż bez słowa
w tę i nazad
w domu tylko kot się cieszy
na widok pełnej miski

Małgorzata Osuch

Gdzieś obok

czy jesteś poza
skupiskiem
brył różnorodnych

poza ramami
narzuconym i chce

poza tym
co niezniszczalne
i wzniosłe

czy jesteś
poza pragnieniami
które stanowią
o tobie

daleko od tamtej
polany przystrojonej
w zapach lasu

być może
poza sobą
samym

a jednak tworzysz
chwilę każdą
od początku
do końca

Róża Berkano

Czekanie

czekanie jest naszą codziennością
jak oddech
czekanie na narodziny
czekanie w urzędzie czy kolejce
czekanie na swój moment i miłość
czekanie na deszcz gdy susza
i na łzy latami
czekanie w oknie ulicy na przemijanie
lub jeden uśmiech
i w końcu czekanie na śmierć

czekanie nie jest konieczne...
czekanie zatrzymuje u progu świata...
nie-czekanie jest żywe
nie-czekanie rozwiewa firany złudzeń
nie-czekanie uchyla drzwi serca

Z pamięcią o kontrkulturze...

Dziki zachód

*Dalem ci wszystko Ameryko
i teraz jestem niczym.*

Allen Ginsberg

Schyłek lat sześćdziesiątych definitywnie pogrzebał nadzieję na wolność. Przez kraj przetoczyła się fala zabójstw i skandali obyczajowo – politycznych. Zabójstwo Martina Luthera Kinga Jr. przyczyniło się do masowych protestów społeczeństwa afroamerykańskiego. Kilka lat wcześniej został zamordowany Malcolm X, Afroamerykanin, który także walczył o równouprawnienie dla czarnoskórej społeczności. Kolejnym zamordowanym politykiem był Robert Francis Kennedy, młodszy brat wcześniej zamordowanego prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Na tym nie koniec. Wydarzenie, które wstrząsnęło opinią publiczną, to morderstwa dokonane przez członków sekty Charlesa Mansona na czwórce przyjaciół. Jedną z ofiar była Sharon Tate żona Romana Polańskiego. To był także okres wielkich muzycznych pożegnań. Śmierć wirtuoza gitary Jamesa Marshalla Hendrixa, nie mniej utalentowanego gitarzysty The Rolling Stones Briana Jonesa, charyzmatycznej wokalistki Janis Joplin i rebelianta na miarę swoich czasów – Jamesa Douglasa Morrisona. Ta plejada wielkich muzyków rockowych odeszła w zaświaty z własnej nieprzymuszonej winy. Po latach zostaną umieszczeni w wiekopomnej trumnie o wdzięcznej nazwie klub 27. Powód? Wszyscy w momencie śmierci mieli po dwadzieścia siedem lat.

Początek lat sześćdziesiątych rozpoczął się od manifestów organizowanych przez studentów – aktywistów. Koniec tej „barwnej” dekady zakończył się w podobny sposób. Manifestujący studenci na jednym z kampusów bostońskich zostali stłumieni przez gwardzystów, w wyniku czego czwórka z nich poniosła śmierć (wielu było rannych).

Wojna w Wietnamie rozkręcała się w najlepsze, pochłaniając rzesze młodych ludzi. Znany bokser wagi ciężkiej Muhammed Ali na znak protestu wobec wojny w Wietnamie i po odmowie odbycia służby wojskowej został zawieszony w prawach obywatelskich i pozbawiony możliwości pracy w zawodzie na pięć lat. Kolejnym krwawym ciosem dla części Amerykanów był nowy prezydent Richard Nixon, który zabił wszelkie nadzieje na zmiany. Nie obyło się bez skandalu z jego udziałem, tzw. afery Watergate.

Wszystkie marzenia o wolności zostały pogrzebane. Manson nie doznał oświecenia przez LSD, tylko przez szaleństwo. Utwór The End zespołu The Doors jak nigdy dotąd brzmiał wymownie w stacjach radiowych. To był koniec pewnej epoki, która zostawiła po sobie spustoszenie, ale... czy na pewno tylko tę negatywną stronę? Zależy, jak na to spojrzymy.

Zrzucanie ubrań, wyznaczanie granic

*Ameryko, kiedy będziesz anielska?
Kiedy ściągniesz z siebie ubranie?*

Allen Ginsberg

Lata sześćdziesiąte były niesamowitym zjawiskiem w dziejach całego świata, swoje wywody ograniczę tylko do Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli współcześnie zakłamuje się te lub je lekceważy, to trzeba pamiętać, że wydarzenia z tamtego okresu po części zmieniły świat. Warto nieustannie wracać do tamtego czasu i czerpać z niego jak najwięcej w kontekście dążenia do wolności w szerokim tego słowa znaczeniu. U podstaw tych wydarzeń leżały: bunt, gniew, niezgoda na niesprawiedliwy porządek świata. Kontrkultura przyczyniła się do zmian politycznych, obyczajowych, społecznych, artystycznych, kulturowych, w sztuce, w literaturze, w muzyce, w dziedzinach nauki, a także w postrzeganiu wolności, wiary – religijności i w wyrażaniu swoich osobistych potrzeb.

Zaczęło się od strajków studentów, którzy nie godzili się na ograniczanie ich praw. Według konstytucji mieli możliwość wypowiedzi – obowiązywała przecież wolność słowa. Przez kilka miesięcy walczyli z administracją uniwersytecką oraz z siłami porządkowymi Kalifornii. Można powiedzieć, że te walkę wygrali, dając wzorzec przyszłym pokoleniom. W późniejszych latach na ich podobieństwo tworzone różne grupy – aktywistów, artystów, studentów, którzy walczyli o swoje prawa.

Kontrkultura przyczyniła się do rewolucji komputerowej. Jej twórcy wywodzili się ze społeczności hipisowskiej. Nosili długie włosy, kolorowe ubrania, słuchali tej samej muzyki, brali kwas, żyli w komunach hipisowskich, uprawiali wolną miłość. Kontrkultura miała wkład w przemiany obyczajowe. Osoby o odmiennej orientacji seksualnej miały dość ukrywania się przed amerykańskim systemem i tą częścią społeczeństwa, która ich nie akceptowała. Wyszły na ulicę, zaczęły domagać się swoich praw, które były zapisane w konstytucji.

Jednym z ciekawych wydarzeń tamtego okresu była historia sprinterki – Kathrine Switzer, która podjęła walkę o równouprawnienie. Wystartowała w maratonie przeznaczonym wyłącznie dla mężczyzn, czym wywołała niemałe oburzenie ze strony organizatorów. Mniej znane wydarzenia z tamtej dekady, lub mało przytaczane, to historia dwóch psychiatrów – Franco Basaglia i Ronalda Davida Lainga, którzy mieli duży wkład w rozwój tej dziedziny. Nie godzili się na przetrzymywanie pacjentów w szpitalach udręki i dręczenie ich, traktowanie jak więźniów lub zwierzęta. Wtedy wydawało się to nierealne, niemożliwe, a jednak w jakiejś części dokonała się reforma.

Alicja Maria Kubiak

Miejsca i historie ze Wzgórza Wisielców

Całe życie pozostajemy pod urokiem baśni i legend poznanych w dzieciństwie i nie ma w tym nic złego, jeśli potrafimy czerpać z ich mądrych przekazów, by uzyskać dojrzałą świadomość i wprowadzić pewien porządek do chaosu codzienności. Świat baśni ułatwia metafizyczny rekonesans życia ludzkiego, poznanie własnej tożsamości, uzmysławia, że pokonywanie życiowych przeciwności pozwala odkrywać nasze prawdziwe Ja. Być może taki cel przyświecał Piotrowi Prokopiakowi przy pisaniu opowieści Wzgórze Wisielców, której fabuła opiera się na tajemniczej kłątwie sprzed kilkuset lat, związanej z tragiczną śmiercią Elżbiety von Doberschütz.

Powieść przedstawia fikcyjne wydarzenia uzupełniane legendami o Szczecinku. Bohaterowie zręcznie wymieniają się informacjami o zdarzeniach z przeszłości, są obecni i zaangażowani w perypetie, które diametralnie zmieniają życie mieszkańców miasta. Książkę wydano kilka lat przed ogłoszeniem pandemii COVID-19, mimo to autor sprawnie przedstawił zasady izolacji, Szczecinek objął kwarantanną, mieszkańcom nadał charakterystyczną obojętność wobec kolejnych ataków nieznanej choroby. Śmierć zbierała żniwo wśród przypadkowych ludzi, na pozór niepowiązanych ze sobą. Na tle tych zdarzeń umiejętnie i zajmująco przedstawione zostały zabytki i ślady ciekawych historii, jak chociażby Belbuk, pomnik astronoma – krawca Adama Giedrysa, wieża po kościele św. Mikołaja, albo pomnik z popiersiem napoleońskiego żołnierza.

Kamienny Belbuk okazuje się roześmianym posążkiem. Jeśli dokładnie poszukać w różnych źródłach, odnaleźć można nieco informacji na temat kamiennych figur wywodzących się z czasów słowiańskich, kiedy otaczano je kultem. Świat przyrody w postaci gór, drzew, kamieni, magicznych źródeł, bagien jawił się dawnym ludom jako przestrzeń tajemnicza, dzika i niebezpieczna. Wiercono w miejsca mocy, otaczano je czcią i szacunkiem, albo strachem. Można się pokusić o spekulację, że uśmiechnięty Belbuk (Biały Bóg) służył pozytywnym obrędom i rytuałom, jak obecnie rzeźba wilka spod Hrubieszowa, do której kobiety zanoszą swoje prośby i modlitwy o szczęśliwe urodzenie potomstwa. Z kolei w parafii Woltersdorf znajduje się kościół, na którego zewnętrznej ścianie widnieje czarny, trójkątny kamień, który uważa się za oblicze otaczanego niegdyś kultem słowiańskiego, połabskiego bożka. Wyraz twarzy wydaje się niezwykle surowy. Symbolika kamienia wyraża głównie niezmienność, niezniszczalność i łączy się z bóstwem gromowładnym – Perunem. Wspomnienie kamiennej rzeźby w powieści skłania do poszukiwań u źródeł i znawców w temacie czci oddawanej niegdyś naturze – miejscom, głazom, zjawiskom przyrodniczym. Kazimierz Moszyński w swoich opracowaniach o wierzeniach słowiańskich zwracał uwagę na kamienne posąжки jako tak zwany kult bałwochwalstwa w przypadku głazów

znacznej wielkości, zwłaszcza gdy przypominały człowieka lub zwierzę. Mniejsze kamienie miały odgrywać kluczową rolę w porach suszy, albo zbyt obfitych opadów deszczu. Poruszenie i przeniesienie w inne miejsce mogło skutkować nieprzyjemnymi dolegliwościami, koszmarami, a nawet ciężkimi chorobami. Mimo to znany jest na Polesiu niewielki głaz, który był zabierany przez mieszkańców okolicznych włości w celach użytkowych, a następnie odwożono go z powrotem na miejsce. W podobny sposób mógł wędrować wspomniany w powieści Belbuk. Według badań archeologów pierwotnie posąg miał się znajdować w grodzie umiejscowionym na wyspie jeziora Komorze w Rakowie, a następnie trafił do Łubowa. Łukasz Trusiewicz w ten sposób opisał szczecińskiego kamiennego Białego Boga:

Surowa tektonika bryły nadaje jej nieoczywistą formę. Nie wiemy do końca, co jest dziełem natury, a co ręki człowieka. Belbuk wtopił się w otoczenie, z którego został wydobyty i stanowi z nim jedność pomimo widocznej ludzkiej ingerencji. Jest wykonany z pospolitego w tym rejonie surowca jakim są polodowcowe głazy narzutowe. Pierwotne myślenie o formie zamyka się w zwartej kompozycji przestrzeni.

W ten oto sposób powieściowa wzmianka o uśmiechniętym Belbuku wprowadziła w odległe rejony wierzeń słowiańskich, a tym samym wdrożyła w świat nieco późniejszych dziejów polowań, bestialskich tortur, niedorzecznych sądów i wyroków, przez które kobiety uznane za wiedźmy uprawiające czary, płonęły na stosach. Fabuła Wzgórza Wisielców została oparta na historii o Elzie von Dobersitz lub jak podają niektóre źródła – Elżbiecie von Doberschütz. Makabryczna wizja ludzi płonących niebieskim ogniem złagodzona została obietnicą braku cierpienia ofiar, popadających w przedśmiertny letarg. Tajemnicze wydarzenia naprowadziły na trop wydarzeń sprzed kilkuset lat, kiedy doszło do karkołomnego osądu żony Melchiora von Doberschütz. Najprawdopodobniej oskarżenia o czary stanowiły podłoże polityczne i w efekcie intryga miała doprowadzić do usunięcia męża Elżbiety z pełnionych przez niego funkcji administracyjnych. Autor za pomocą wizji, która nawiedziła bohatera na Wzgórzu Wisielców, przedstawił makabryczny widok żywcem płonącej kobiety:

Okropny ryk wiatru, dobyty z gardzieli potępienia, rósł i pęczniał w uszach, rozrywając czaszkę od wewnątrz. Zobaczyłem słup ognia, a w nim kobietę trawioną przez żywioł. Jej ciało pokryte pęcherzami wiło się w okrutnej torturze.

Przytoczone powyżej wyobrażenie odbyło się w znanym szczecińskim mieszkańcom miejscu, na tytułowym Wzgórzu Wisielców – słynnym miejscu straceń – z którym związane były lokalne legendy. Piotr Prokopiak ożywił w powieści obszary związane z historią i powołał się na zdarzenia, które miały swe źródła w dokumentacjach archiwów muzealnych. W swoisty sposób prowadził swoją zmyśloną opowieść, której początek zaczerpnął z wydarzeń sprzed kilkuset lat.

Aneta Łuczowska w artykule *Ciemna karta historii: Nawet kilka milionów kobiet stracono za czary* powoływała się na słowa Renaty Zdero z działu wystaw Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie o domniemaniach straceń za czary około kilkuset tysięcy do kilku milionów osób w Europie. Szacunkowe dane pochodziły z około stu tysięcy dokumentów procesowych o czary. Jak wiadomo, wybronić się z oskarżeń było sprawą

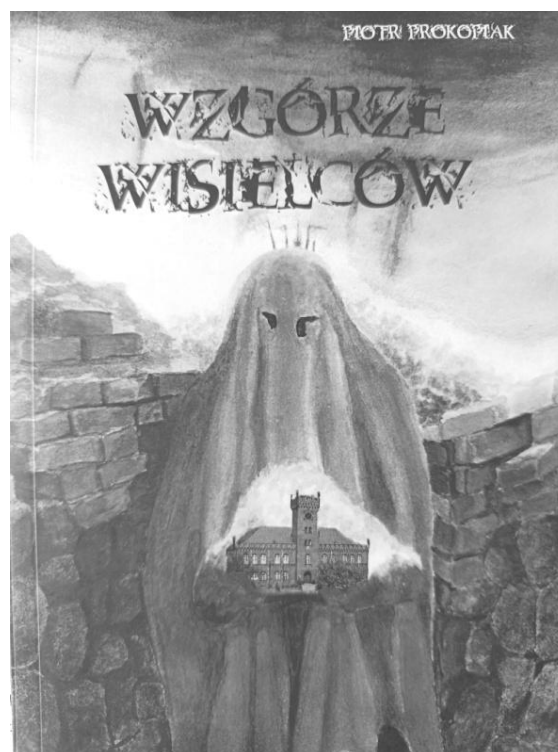
prawie niemożliwą, wystarczyły pomówienia, a zaciekle obrona podczas procesu świadczyła o tym, że potencjalna czarownica jest pod wpływem diabła. W Archiwum Państwowym w Poznaniu przechowywane są badania historyków, którzy prowadzili kartotekę rejestracji czarownic na terenie Niemiec, a w niej znajdują się opisy spraw o czary na terenie Pomorza. Badania źródeł historycznych odbywały się na polecenie Himmlera, który interesował się między innymi metafizyką, parapsychologią, templariuszami, kultem Szatana.

Wróćmy jednak do Wzgórza Wisielców i kolejnych wzmianek historycznych. W jednym z rozdziałów doszło do spotkania bohatera z matką Igi na Wzgórzu Św. Jerzego, gdzie mieścił się cmentarz oraz popiersie napoleońskiego żołnierza. Pomnik powstał dla upamiętnienia 119 żołnierzy zmarłych z wycieńczenia, podczas odwrotu spod Moskwy. Nie zabrakło przy okazji refleksji o ludzkiej paranoi, imperialistycznych zapędach, manii wielkości i chorobliwych ambicjach. Podążając za bohaterami poznajemy miasto, które wydaje się ważnym elementem życia autora. Każde miejsce opisane zostało z troską i starannością o jego historię, przeznaczenie oraz rolę, jaką odgrywało dla społeczeństwa na przestrzeni swojego istnienia, dla podkreślenia różnic dziejowych i jednocześnie obrazowania współczesności z siłą, która napędza historię, kieruje losami zbiorowości jak i jednostek. Bohaterowie byli świadkami niedawno minionej epoki, do której chwilami powracali we wspomnieniach, jakby się uwikłali w historię czasów dzieciństwa, z której nie mogli, albo nie chcieli się wypłatać. I chociaż w pewnym momencie nadszedł kataklizm dziejowy, wszystko dookoła się zmieniło i tamtego świata już nie było, poczucie wspólnoty przyjaciół trwało nadal i spinało klamrą wspomnień przeszłość z teraźniejszością. Pęd rozwoju nagle został zahamowany. Ludzie zaczęli umierać z niejasnych powodów, a bohater poruszał się wśród ginących, czując ciężar odpowiedzialności, starał się dociec przyczyny zachodzących zmian. W pewnym sensie czuł się współodpowiedzialny i za wszelką cenę podejmował wysiłki, które pozwoliły przerwać tragedię, odnaleźć się w nowej rzeczywistości bez obawy, że mroczna wizja błędów przeszłości znów zapanuje nad miastem i egzystencją jego mieszkańców. Wyjątkowa wrażliwość autora zwraca się ku równym szansom przynależnym ludziom, by dostrzec człowieczeństwo w każdym mijanym przechodniu, zwłaszcza potrzebującym pomocy i wsparcia. Jednak trup ściele się wśród przypadkowo napotkanych mieszkańców Szczecin-ka, znajomych bohatera, nie oszczędzając nawet przyjaciela. Kim zatem jest autor? Ma możliwość kierowania losami bohaterów, decyduje kogo ocalić lub uśmiercić, komu zadać cierpienie, chorobę, a nawet tortury. Nie trudno w tym procesie odkryć w sobie tożsamość literackiego seryjnego mordercy, ale sztuką jest nie popaść w rutynę i nie wybrać w pień wszystkich ważnych dla tekstu postaci. Okrucieństwo autora wobec bohaterów swoich powieści może również oznaczać dręczenie samego siebie.

Powieść posiada elementy fantastyki i horroru. Niektóre opisy wizji i zdarzeń odbywających się nocą, na cmentarzu lub w centrum handlowym przyprawiają o gęsią skórę. To nie wszystko, bo spomiędzy kartek wydostają się na światło dzienne postaci i wydarzenia historyczne, jak wspomnienie o powstaniu Księstwa Szczecińskiego, które istniało pod koniec XIV wieku pod pieczęcią księcia Warcisława V. Zatem mamy do czynienia również z non-

fiction. Dobrze połączone elementy utworzyły ciekawy przekaz, który śmiało mógłby przeciwstawić się wyszukiwaniem w literaturze przez Alberto Castoldi dowodów na powstawanie kolejnych opowieści w bibliotece, czerpaniu pomysłów z innych książek, które nadają formę egzystencji i stanowią analogię do dzieł literackich. Zapewne ktoś mógłby się uprzeć i zauważyć, że Albert Camus również opisał straszliwą epidemię i zamknięcie miasta w *Dżumie*. Jednak doszukując się w ten sposób podobieństw do dzieł powstałych w przeszłości, możemy dojść do wniosku, że pierwsze z utworów pisanych powstały w głowach opowiadających, zanim wynaleziono pismo. Gdyby wziąć pod uwagę indywidualne doświadczenia pisarzy i ich powtarzalność występującą w życiu każdego niemal człowieka, to właściwie już dawno powinno się przestać pisać o czymkolwiek. Jednak istnieją pewne czynniki, które wpływają na unikatowość powstających powieści. To one sprawiają, że opowiedziane historie różnią się od siebie mniej lub bardziej. Czasy nieustannie ulegają zmianom, ludzie kochają i nienawidzą, nawet jeśli te uczucia wydają się podobne, to osadzone w specyficznych dla danej epoki okolicznościach, znacznie mogą się różnić. Zwłaszcza gdy autor nie opiera fabuły jedynie na przeczytanych książkach, a raczej na przemyśleniach, które to Rousseau uważa za metodę właściwego ich przyswojenia, co prowadzi do nawyku refleksji i samodzielnego odnajdywania prawdy. W powieści Prokopiaka wyczuć niemal można, że poszczególne epizody powstawały podczas spacerów, przechadzek mentalnych i we wspomnieniach. Jedynie fakty historyczne mogły być zaczerpnięte ze źródeł mieszczących się w bibliotekach, archiwach, bądź muzeach.

Piotr Prokopiak - „Wzgórze Wisielców”, Wydawnictwo Papierowy Motyl, Warszawa 2013.



Danuta Ewa Dachtera

Poznanie – Stwarzanie się. Wyrażanie

Łucja Dudzińska jest poetką, aforystką, wydawczynią, redaktorką, jurorką i animatorką kultury. Jej dorobek poetycki – jedenaście tomów (w tym trzy dwujęzyczne), jest bogaty i ceniony.

Czym wyróżnia się najnowszy tom poetycki autorki *Bez – Troska. Próby wyrazu*? Zaczyna się z pozoru konwencjonalnym *Dzień dobry*, ale jest także *Wieczór* poprzedzony kropką – czyli już niebanalnie. Tytuły wierszy często przyjmują postać dwuczłonową. Oczywisty jest tutaj celowy zamysł poetki, znanej z zainteresowań lingwistycznych (przykładem niech będzie tytuł – zaczerpnięty z wiersza Łucji Dudzińskiej, wydanego na 40-lecie almanachu poznańskiego Klubu Literackiego – *Na końcu świata albo języka*). Wcześniej, na środku pierwszej strony, przed dwuczłonowym tytułem *Bez – Troska. Próby wyrazu*, pojawia się trudny do przeoczenia znak – symbol? – kropka. Taki sam znak umieszczony jest także na stronie ostatniej. Chyba to nie przypadek. Wskazuje na zamknięcie tekstu – myśli, przeżyć, w pewnym przedziale – czasu, doświadczenia. Kropki widoczne są także pod niektórymi wierszami. Niebanalnie przywitani wkraczamy w świat (przedstawiony), czas *Bez – Troski*, opisany *Próbami wyrazu*. Tutaj: ... *Dzień i noc odbijają się w neonach zielonych łodyg, / w nawoływaniu ptaków o świcie. I to ciągle, ciągle / bicie zegara zatracza się w echu. Mechaniczny czas. (Dzień dobry. Wieczór)*. Pierwsze zwrotki wiersza (piękny poetycki opis sielskiego świata) skonstruowane są z dwiema następnymi: *Dym prosto unosi się do nieba, tym razem szary. / Płat przewraca się na zewnątrz. A wierność psa / wzmocniona łańcuchem – to taki zarwany most. // między lojalnością a wolnością. Krzyk i skowyt. / Myślisz o rodzinie. Dookoła nieme powietrze, / blask zorzy oraz szeptane prośby na dobry dzień. (Dzień dobry. Dobry wieczór)*. Tęsknocie za normalnością „zielonego dnia”: ... *który wymknął się sztucznej inteligencji. Znow uciekł / od kwaśnych deszczy, ukrył się przed promieniowaniem UV / i dostępem do wi-fi. Ten dzień minął się z warkotem pilarki / łańcuchowej i rozkwitł w pąku wiosennej siły przetrwania. (Eco dzień. Transcendencja)*, towarzyszy chęć, ... *aby wiosenny nastrój trwał cały rok (Dzień za dniem. NIC)*. Poetka znajduje takie - wiosenne miejsce podczas spaceru. Píše: ... *Prowadzi mnie aleja drzew – zapamiętana z dzieciństwa. I ta myśl, / że chcę tu zamieszkać, wracać, gdzie wiosna, odchodząc zostawia / letnim wieczorom zapach lipowego kwiecia. To jest niebo. Jestem / oczarowana i zaczarowana – sama będę czarować, by wyczarować ... (W Słupsku. Spacer)*.

Co zatem chce, zainspirowana pięknem przyrody, wyczarować bohaterka? ... *dobry graffiti, jakieś miejsce. Takie codzienne, a jakże artystyczne / pośród słów, wśród obrazów Witkacego i twórczych przedstawień. Pośród słów...* Tego nie można pominąć, bo dla poetki ważne jest nie tylko odpowiednie miejsce, normalność zielonego dnia, a nawet *zieloność krwi i nieparzystość do pary*.

Poszukuje ona sekretu zaklinania słów, o czym pisze w swoich wierszach. Zauważa: **On ma sekret zaklinania słów.** (*Wiemy o zaklinaniu / węży, zaklinaniu koni*). *Metafory mogą przybliżać / i oddalać. Poeta jak planeta krąży wokół sedna, // krąży wokół sensu. Czy bycie wiarygodnym oznacza mówienie tylko prawdy, która często wszystko niszczy? / Samotność zapominania staje się pamięcią, dyplomacją. // Najtrudniej będzie przeczekać ból zanim pojawi się / pusta przestrzeń. Widać jak maska wżera się w twarz, / a rzeczywistość jest tuż pod maską i tuż nad nią. (Sekret wyrazów literackich; dla Karola M. i Piotra Ś.)*. Łucja Dudzińska pisze o tym, iż trudno będąc autentycznym, zachować wiarygodność. Tajemnica tkwi w języku i jego użyciu. Metafory mogą przybliżać lub oddalać od prawdy, a i sama prawda często niszczy wiarygodność... To nie koniec rozważań o sekrecie wyrazów literackich. Poetka chce poznać tajemnicę zawartą w zdaniach, poglądach kogoś, kto posiada sekret zaklinania słów. Czyni to następująco: ... *Próbuję dekodować za pośrednictwem „sześciu” zmysłów. Interpretuję / zdania i poglądy. Niech pozwól wypłatać refleksje. Trzeba być czujnym, bo: ... Donikąd / prowadzą też proste drogi. Ruchliwe autostrady // wołają: daj się prowadzić! ... (Masz sekret zaklinania słów)*. A kiedy już tajemnicę wyrazów literackich posiadało się, to nie wystarczy stwierdzenie: **Znam sekret zaklinania słów.** Pojawia się zagadnienie: ... *Co z nim zrobić? Jeszcze / nie wiem. Bezustannie poznaję i stwarzam się od nowa / (na przekór Bogu i ludziom). Celebрую złotą szkatułkę, // czytając chmury na niebie. (...) // Trzeba karmić pszczoły, zjadać słodycz na miarę smaku / i cenę wzroku. Wyrzucać do kosza błyszczące papierki, / wrywać białe kartki z korzeniami, by odkryć tajemnicę. Bez zrozumienia tego sekretu wyrazów literackich niemożliwe byłyby „próby wyrazu”, a książka tętni bogactwem tematyki – aktualnej i uniwersalnej. *Próby wyrazu. Bez – Troska* to wiersz, który sygnalizuje ważne treści. Autorka zwraca w nim uwagę na problemy społeczne: współistnienie pamięci po zmarłych i „BezTroski o żywych i źle sprawnych” (warto zauważyć różnicę znaczenia między „Bez – Troską” a „BezTroską”), walkę „... po nienarodzonych. Rodzonych. Przyrodzonych. ...”.*

Zauważa, iż żyjemy w pewnej społecznej przestrzeni, którą wyznaczają nasze preferencje: ... *Żyjesz w przestrzeni. Wyznacza ją pokrewieństwo dusz albo / braterstwo ciała. Poetka pisze: ... Wy-chodzimy z własnego punktu widzenia / poprzez gesty, lustrzane odbicie rozsądku i głosu, które wracają. / To echo. Echo. Echo. Po drodze czasem traci prawdę i sens. Pomimo prób ukazania swojej perspektywy pokrewnym duszom, bratnim osobom, napotykamy na trudności, a prawda czasem ulega zniekształceniu. Bywa, że: ... Ktoś popełnia błędy – i zostaje. / Zostaje. Zostaje? Taka sytuacja. Nie jest istotne jakie to są błędy, liczy się, że: ... Dopa-da ciebie prawda. Odchodzisz, aby przyjść w inne miejsce. Droga wcale nie jest łatwa, bo chociaż: ... Każdy niesie pragnienia / bycia kochanym. ..., to ... Ludzie mijają się obojętnie. ... (Tłum. Arena)*.

Łucja Dudzińska - „Bez – Troska. Próby wyrazu, Mis – Concern. Attempts at Expression” translated by Anna Błasiak, Biblioteka FONT, Profile, Poznań 2024.

Sztuczna inteligencja i żywe słowo: literacka przyszłość czy literacki blef?

Jeszcze dekadę temu traktowaliśmy sztuczną inteligencję jak science fiction. Dziś wkracza w nasze życie, nie pytając o pozwolenie. Czym jest właściwie ta sztuczna inteligencja? **Sztuczna inteligencja** (ang. *Artificial Intelligence*, skrót: AI) to dziedzina informatyki, która zajmuje się tworzeniem systemów i programów zdolnych do „inteligentnego” działania – czyli takich, które potrafią: uczyć się (np. rozpoznawać wzorce na podstawie danych), podejmować decyzje (np. sugerować działania), rozwiązywać problemy (np. grać w gry, analizować sytuacje), komunikować się (np. rozumieć i generować język naturalny). Podsumowując, sztuczna inteligencja to po prostu zdolność maszyn (komputerów) do działania w sposób podobny do ludzkiego, ale sztuczna inteligencja nie myśli tak naprawdę i nie jest (przynajmniej na razie!) inteligentna w ludzkim sensie. AI tylko symuluje inteligencję. Działa na podstawie algorytmów, statystyki i ogromnych ilości danych, które „zasysa” z całej sieci Internet. Uczy się wzorców, ale nie rozumie ich znaczenia. Czy to oznacza, że AI jest bezużyteczna? Absolutnie nie! Jest bardzo potężnym narzędziem, które pomaga w wielu dziedzinach życia, ale to jednak człowiek musi decydować, jak i dlaczego z niej korzystać.

Nowe narzędzie twórcze

W tym miejscu zajmiemy się jednak tylko wpływem AI na literaturę, na proces twórczy. Zaczniemy od zalet. Sztuczna inteligencja w kilka sekund wygeneruje propozycję tytułu, zaproponuje zakończenie powieści albo ułoży rymowaną strofę. Może pomóc redaktorom, tłumaczom, nauczycielom. Przyspieszy korektę tekstu, ułatwi analizę stylu, umożliwi sprawdzenie spójności narracyjnej, a nawet porównywanie tekstów między sobą w poszukiwaniu plagiatów lub inspiracji. Nie ocenia – ale podpowiada. Nie czuje – ale strukturyzuje. Każdy może spróbować swoich sił w pisaniu, korzystając z cyfrowego asystenta (aktualne staje się więc także hasło: *Grafomani wszystkich krajów łączcie się!*).

Literacki blef?

Sztuczna inteligencja to nie tylko błyskotliwa pomoc. To również zagrożenie. Nie odczuwa emocji, nie zna samotności, nie przeżywa śmierci bliskiej osoby. Nie wie, co znaczy kochać, tęsknić, cierpieć, a przecież właśnie z tych doświadczeń rodzi się prawdziwa literatura. Sztuczna inteligencja pisze na podstawie wzorców, statystyk i przewidywań. Często tworzy teksty poprawne, ale puste. Narracje są logiczne, lecz przewidywalne. Styl – elegancki, lecz pozbawiony ryzyka. Coraz trudniej odróżnić, co stworzył człowiek, a co maszyna. Czy to fascynujące? Owszem. Ale również niepokojące. W efekcie możemy mieć do czynienia z inflacją słowa. Literatura – zamiast być wynikiem długiej pracy i refleksji – może stać się masowym produktem, pozbawionym autentyczności.

W codziennym życiu – złudzenie wygody

W życiu codziennym sztuczna inteligencja potrafi wiele podpowiedzieć (choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę): co kupić, co przeczytać, gdzie pojechać na wakacje. Wystarczy zalogować się w sieci... To wygodne, ale czy zawsze dobre? Zaczynamy polegać na sztucznej inteligencji przy podejmowaniu decyzji, zamiast zaufać własnej intuicji. Nasze wybory stają się przewidywalne, nasze gusty zaś kształtują algorytmy. Zamiast żyć – jesteśmy programowani do życia. To prowadzi do pytania: gdzie kończy się wsparcie, a zaczyna zależność? Czy w pewnym momencie nie utracimy zdolności samodzielnego myślenia, czytania, pisania?

Nadzieja w człowieku

Mimo wszystko – sztuczna inteligencja nie musi być wrogiem. Może być partnerem twórczym. Może uczyć, inspirować, pobudzać wyobraźnię. Literatura przyszłości może być hybrydowa – tworzona przez człowieka, ale wspierana przez algorytmy. Tak jak fotografia nie zabiła malarstwa, a kino nie zabiło teatru, tak i AI nie zabije literatury. Raczej ją odmieni. Maszyna nie zastąpi emocji, ale może pomóc je wyrazić. Nie stworzy arcydzieła, ale może zainspirować. Nie będzie pisarzem, ale może być pomocnikiem pisarza. Nie szybkość pisania, ale głębia przeżycia. Nie stylistyczna doskonałość, ale prawdziwa intencja.

Nowe formy, nowe pytania

Pojawia się też pytanie o tożsamość autora. Kto odpowiada za tekst stworzony przez AI? Czy sztuczna inteligencja może być autorem, a jeśli tak, to czy należy się jej prawo autorskie? W końcu AI to tylko rodzaj oprogramowania, które „przeżytało” ogromne ilości tekstów (które już wcześniej powstały) i potrafi na tej podstawie generować nowe zdania. Czy to jednak tylko narzędzie, czy już nie współautor? Jeszcze ciekawsza wydaje się przyszłość interaktywnych narracji – książek, które reagują na czytelnika. Wyobraźmy sobie powieść, która zmienia się zależnie od naszych nastrojów, decyzji lub pytań. Narracja staje się żywa, dynamiczna, rozmowna. To nie tyle książka, co literacki dialog, a AI pełni rolę niewidzialnego reżysera.

Strach i nadzieja

Oczywiście, jest też lęk. W sieci Internet już dziś roi się od automatycznie wygenerowanych artykułów, recenzji, komentarzy. Zacierają się granice między prawdziwą refleksją a dobrze wytrenowaną imitacją. W efekcie zaufanie do słowa pisanego zaczyna słabnąć. Może to jednak nie jest koniec literatury tylko jej kolejne wcielenie? Pisarz przyszłości nie musi konkurować z AI, ale może z niej korzystać. Czytelnicy – ci prawdziwi – zawsze rozpoznają, gdzie zaczyna się człowiek, a kończy algorytm, bo choć AI może tworzyć zdania, to tylko człowiek potrafi uczynić z nich opowieść, która naprawdę porusza. Rozwój sztucznej inteligencji wręcz galopuje. Ta rewolucja ogarnia świat. Czy wszyscy są na nią gotowi? Kto jest w stanie przewidzieć, co się stanie w najbliższej przyszłości...?

Stanisław Szwarc

Poznaniacy

Żyd nieznany z imienia
z czią przybijał mezuzę
nad drzwiami swego domu.
Dziś przypadkiem odkryta
na Mokrej, czy też Szewskiej –
cień świata tak barwnego,
co uleciał z dymem.

Kto wie, gdzie szukać – znajdzie
na murze Podgórznej
blizny po Hindenburga wyrwanej tablicy.
Obok Marcinkowskiego pamięć uwieczniona
Tylko roku zabrakło, by sąsiedowali

W podwórzu przy Strzeleckiej
kantor Cegielskiego.
Tak niewiele zostało z niemałej fabryki

Bamberskich śladów pełno na Jeźcach.
Na Polnej pod asfaltem drzemią koleiny
wozów drabiniastych, ślady stóp żniwiarzy.

To naszej historii korzenie splecione.
Mocna sieć, nasz fundament,
na którym stoimy.



XXX-lecie „Gazety Kulturalnej”

Gratulujemy Andrzejowi Dębkowskiemu pięknie prowadzonego pisma. Nasz „Protokół Kulturalny” dopiero zmierza do tej cyfry. może mu się uda? Na łamach Jubilatki tyle pięknych pór i nazwisk! Redaktor tej „Gazety” – znany pisarz, krytyk, publicysta, eseista, fotografik... Laureat znaczących nagród, członek Komisji Kwalifikacyjnej ZLP, wiceprezes ZG ZLP... A może przede wszystkim On - Poeta? Pytam, bo pamiętam przygodę z pisaniem recenzji z książki „...na ziemi jestem chwilę...”, Niespodziewanie tyle świetnych fraz, odkrytych, bezbronnych, szczerych słów...

Panie Redaktorze! Ad multos Annos!

Jerzy Grupiński



26 maja 2025 – wręczenie Stanisławowi Szwarcowi nagrody „Chleb dla Poety” w postaci ceramicznej rzeźby autorstwa Marioli Kalickiej. To wyróżnienie o długiej tradycji. Przed oczyma mam taki obraz: fotografię Jerzego Grupińskiego i Wincentego Różańskiego w sali kominkowej poznańskiego Zamku, trzymających rzeźbę – pajądę tego chleba wręczaną Witkowi Różańskiemu.

Laureat nie tał wzruszenia. Powiedział, że na tę nagrodę zasłużyła również jego zmarła żona Jolanta. Dodajmy, że rzeźba „Chleb dla poety” – dzięki Bogusławie Łatawiec i Edwardowi Balcerzanowi – trafiła niegdyś i do rąk Wisławy Szymborskiej, kolekcjonerki takich dziwnych pamiątek.

Danuta Ewa Dachtera

Zainteresowane osoby powinny koniecznie zajrzeć na fanpage, umieszczony na portalu Facebook „Protokół Kulturalny/Klub Literacki Dąbrówka: <https://www.facebook.com/profile.php?id=61550775642052>, redagowany przez Krzysztofa Gołębiowskiego. Zapraszamy do zamieszczania materiałów na naszej stronie.

